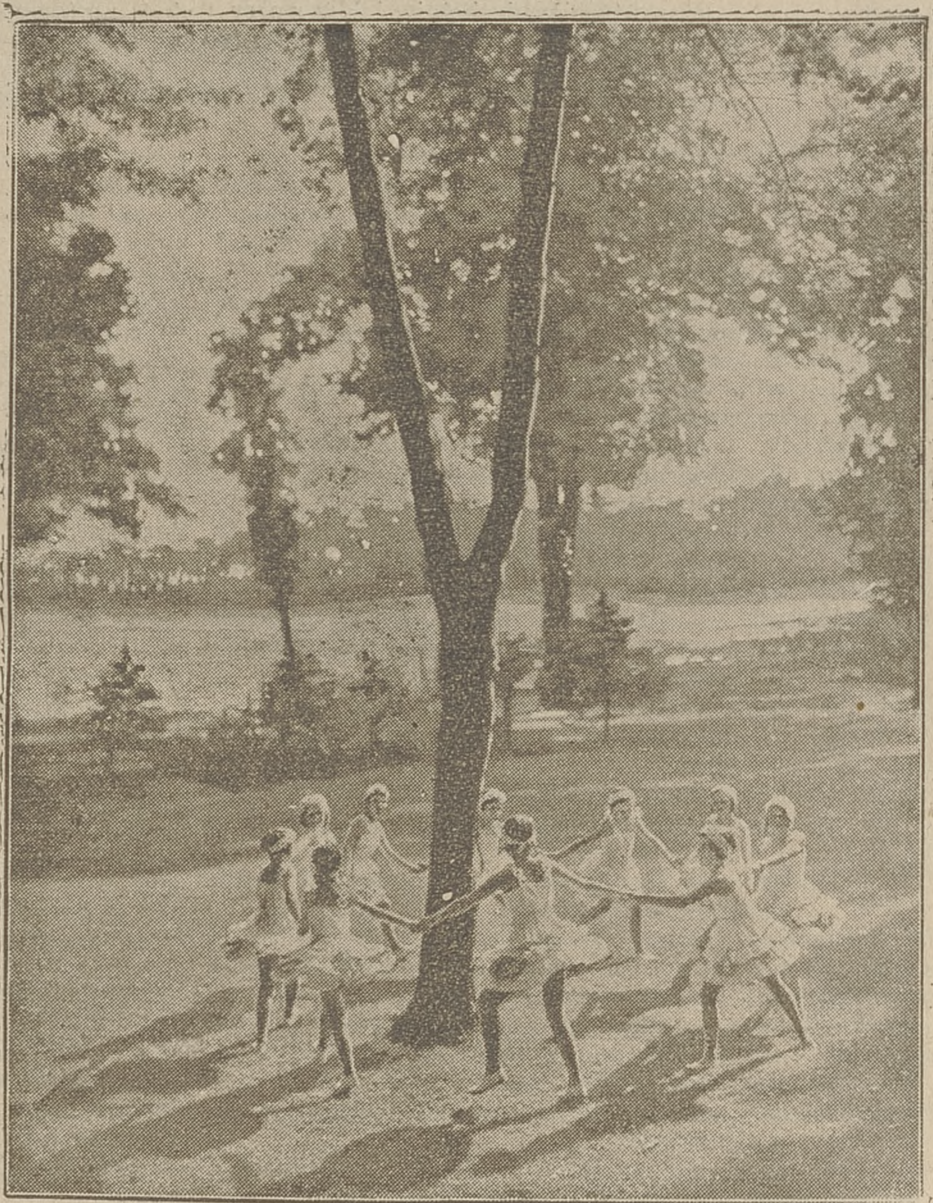
Miesięcznie 95 groszy
prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Niedziela, dnia 23 czerwca 1935 r. Nr. 25.



W Noc Swiętojańską

A kiedy sobótki zapłonie stos,
Na uroczyskach w noc świętojańską,
Strojne w brylanty wieczornych ros,
Boginki leśne wkrąg zatańczą —
Na leśnej polanie, wśród cichych drzew,
W świetle księżyca popłyną złotym...

— — — — — — —

Może usłyszy ktoś ich pieśni zew
I tajemniczą głąb lasu zbada...
Ktoś, co w noc tę śmiało przemierzy bór,
Szukając kwiatu szczęsnej paproci...
Wracając z niczem, zwabiony przez chór,
Cudny pląs dryjad leśnych zobaczy...

„KALINA".

MARJA REUTT

Pani Gabrynia

8)

Panowie stali w głębi, opowiadając o wyścigach, co odbyły się parę dni temu.

Wtem wszedł pułkownik Pragniewicz, wyprostowany, rosły, barczysty. Znać było na nim niemieckie przeszkolenie wojskowe. Wiało od niego pruską butą, zarozumiałością i sztywnością, która cechuje pruskich junkrów.

Po przywitaniu się z panią domu zbliżył się do pań. Szedł po kolei, aż znalazł się naprzeciw pani Gabryni z wyciągniętą na powitanie prawicą.

Uwaga wszystkich zebranych w salonie skierowała się na nich.

— Witam panią.

Kiwnęła mu głową, nie patrząc na niego.

Poczerwieniał, ale spokojnym ruchem odsunął stolik nabok i stanął przed nią z wyciągniętą stale ręką.

— Dobry wieczór pani.

Wzięła wolno filiżankę ze stolika i podniosła ją do ust z miną, jakby zamiast pułkownika stała przed nią palma.

Zbladł i cofnął się, ale w tej samej sekundzie opanował wzburzenie, spokojnie przywitał resztę pań i zwrócił się do urzędników, którzy z bijącem sercem czekali dalszego ciągu zajścia.

Książkowy Zelent ściskał długo rękę pułkownika, jakby mu wyrażał współczucie i oddawał się do jego dyspozycji, gdyby zechciał skorzystać z jego usług, jako sekundanta.

Ale dalszego ciągu nie było.

Olgierdowie Gozdawowie opuścili po angielsku w godzinę potem gościnny dom pułkownikostwa i wrócili do domu.

— Jutro będę czekał sekundantów — zauważył Olgierd kładąc się spać.

Pani Gabrynia wybuchnęła płaczem:

— Nie mogłam inaczej postąpić. Podać mu rękę, jakby nigdy nic nie zaszło, było nad moje siły i nerwy.

— Właściwie powinnam mu była dać w twarz!

— Bał się tego. Pamiętasz, jak zmieszał się i odskoczył, gdy spotkałam się z nim twarzą w twarz na wyścigach. Aż to zwróciło uwagę tego kapitana artylerji, który z nami rozmawiał.

Nie było dalszego ciągu wówczas, nie było i potem. Nie zjawili się sekundanci.

— — — — — — — — —

W korytarzu zagrzmiały fanfary. Ktoś z panów zanucił: sto lat, — sto lat, niech żyje nam... podchwycili wszyscy. Zabrzmiał chóralny śpiew.

Gdy ucichł, rozległy się tony tanga; jednocześnie ordynans otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju, opróżnionego z mebli.

W pierwszą parę poszedł z pułkownikową młody major, dowódca dywizjonu lotniczego, za nim posunęły się inne pary: dystyngowana pani Nadia Protopow, przystojna pastelowa blondynka pani Ania Kulczyńska, przysadzista pani Zaza, prześliczna żona szefa sztabu, pani Izia i inne.

Pułkownik, usadowiwszy bridżistów przy dwóch stolikach, oddał się całkowicie na usługi pań, czuwając, by żadna z nich nie siedziała w oczekiwaniu na tancerza.

Choć zdawał się odnosić jednakowo do wszystkich, jednakże wprawne argusowe oko pani Protopow odkryło pewną różnicę w stosunku do pani Gabryni.

Czujny był na każde jej skinienie, śledził każde jej poruszenie i krążył koło niej stale.

Ona jednak jakby tego nie zauważyła. Flirtowała i tańczyła na swój spokojny, trochę sztywny sposób, widać było jednak, że unika bezpośredniego zetknięcia się z panem domu. Odgradzała się od niego towarzystwem coraz to innego pana lub pani.

Dopiero dobrze już po północy udało mu się zdybać ją samą i poprosić do tańca.

Poszła trochę niechętnie, jakby z przymusem, ociągając się.

Wszyscy zebrani tańczący lub grający zaczęli ich śledzić.

Ciekawe, zaintrygowane spojrzenia szły za każdym ich krokiem.

— Czego pan szuka oczami wśród tańczących — zirytował się major Burchard, gdy mu partner wyszedł z pod króla.

Zaczerwienił się młody gracz i następną kolejką ograł przeciwnikowi renons w kierach.

— Pokarał mnie Pan Bóg partnerem — zrzędził major.

A tamci, którzy byli przyczyną przegranego robra i tylu nierównych i zmylonych kroków tanga, kręcili się, podrygiwali, przeginali, jak tego nakazywały figury tańca i takt wybijany jazz-bandem.

— Czy pani nigdy mi nie przebaczy? — wyszeptał patrząc jej błagalnie w oczy.

— Przebacza się tylko tym, komu zależy na tem, a pan o moje zdanie nie dbał.

Zacisnął palec na jej ręce, aż syknęła.

— Nie przypuszczałem, że pani może być tak bez serca.

— Raz w życiu jest się naiwną — odrzuciła zdawkowo.

Nagle rozpogodziła spochmurniałą twarz i na ustach jej wykwitł uśmiech na pół rozbawiony, na pół zalotny.

— Niech pan nie robi grobowej miny, bo Bóg wie co mogą pomyśleć te wszystkie panie, śledzące nas z taką niezdrową ciekawością, nie wyłączając pana żony.

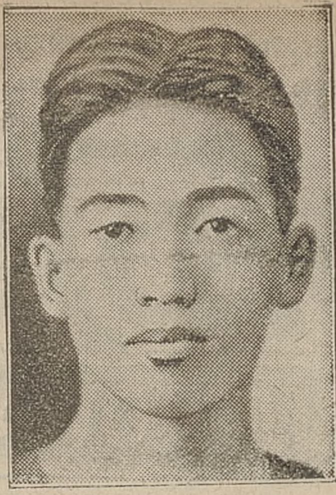
Odwrócił głowę trochę gwałtownie i spotkał się z oczami pani Reny, w których czaił się smutek i łzy.

Zły jego humor i przygnębienie pierzchło odrazu, w oczach zatliło się rozrzewnienie.

— Nie bój się maleńka — mówił jej spojrzeniem i wyrazem całej twarzy.

* *
*

Nazajutrz przed południem zjawiła się u pani Gabryni inżynierowa Knotte, młode, naiwne stworzenie, zbyt szczere i otwarte, jak na to przepisy dobrego tonu nakazują, ale niezłe i niezepsute nowemi prądami.



Hirosi Tanaka, lekkoatleta japoński, ustanowił rekord świata, skacząc wzwyż na 2.10 mtr.

Wszelka ewolucja duchowa, wszelkie zbyt raptowne zmiany pojęć działają jak szampan na słabsze głowy.

Wypity w miarę, daje przyjemne wrażenia, podnieca, dodaje humoru, uprzyjemnia każdą ucztę.

Nadmiernie użyty, wywołuje utratę samopoczucia, upija do ekscesów.

Pani inżynierowej te nowe powojenne pojęcia, zastosowane z umiarem, dodawały wdzięku, nie ujmując nic z jej subtelności i wartości moralnych przedwojennych.

Lubiła ją dosyć pani Gabrynia. Ona jedna tylko jeszcze od czasu do czasu zachodziła do niej i rozmawiała niezachęcana do tego w tramwaju, lub przy spotkaniu na ulicy pomimo, że było to źle widziane i notowane przez panią dyrektorową.

— Wie pani — szeptała jej do ucha, jakby bojąc się, by ściany nie usłyszały, — co mówią o pani, że pułkownik jest w niej zakochany i pułkownikowa ciągle płacze z tego powodu.

Poczerwieniała lekko pani Gabrynia i zagryzła wargi.

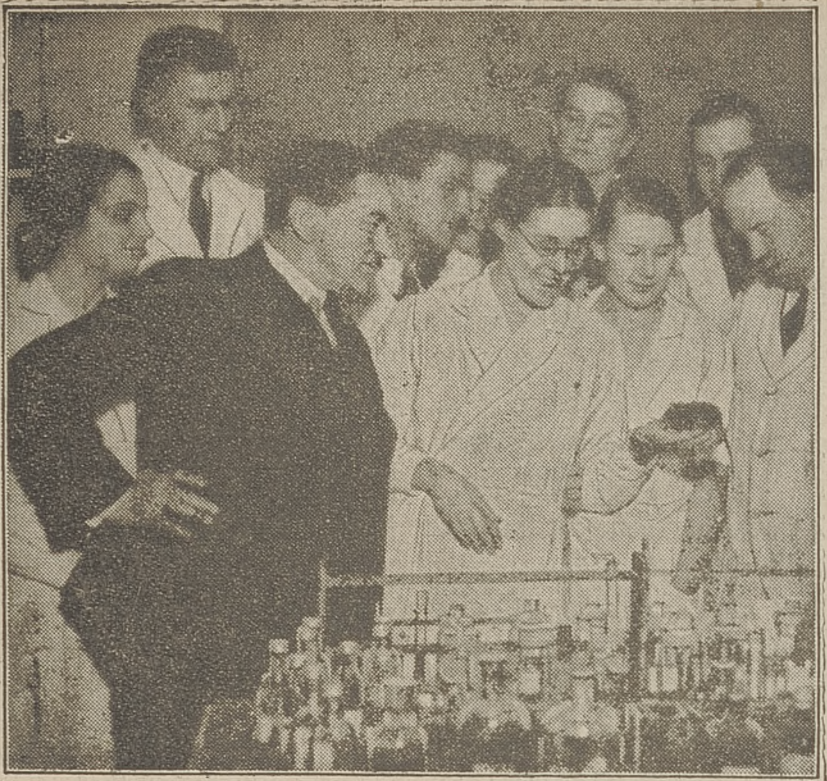
— Panie z fabryki zadużo mają wolnego czasu, by snuć romantyczne pomysły, zupełnie nie mające nic wspólnego z prawdą i by niemi zatruwać spokój tak miłej, młodej osóbki, jaką jest pułkownikowa — odpowiedziała rozdrażnionym tonem.

— Pułkownika przed jego ożenieniem się widziałam wszystkiego dwa razy w życiu, bliżej go nie znam wcale.

— Wróciłam do kraju z zagranicy w lecie 1919 roku, a pułkownik w listopadzie tegoż roku ożenił się i o ile wiem, z wielkiej miłości. Cały czerwiec, lipiec, sierpień i wrzesień spędziłam w Krakowie, a pułkownik wówczas był z pułkiem gdzieś w Suwalszczyźnie. W październiku tegoż roku poznałam w Wilnie swego męża.

— To cała moja historja powojenna.

— O ile wiem, pułkownik już przed wojną był porucznikiem w rosyjskiem wojsku i w b. Królestwie Kongresowem, skąd pochodzę, nie bywał wcale. A od 1912 roku jako ośmnastoletnia dziewczyna wyjechałam na uniwersytet do Szwajcarji i wróciłam dopiero wiosną 1919 r.



Profesorowi v. Euler-Schelpin (lewo w czarnem ubraniu), **zajętemu w Instytucie Biologicznym w Stokholmie, udało się odkryć witaminy, które będą stosowane w walce z zapaleniem płuc. W witaminy te bogate są czarne porzeczki.**

— Niech pani wytłumaczy swoim przyjaciółkom, że ich domysły są śmieszne i bezpodstawne. Nie przynoszą mi ujmy zupełnie, bo któraż kobieta obrazi się, gdy opinja ludzka, a szczególniej pań, stwarza koło nich nimb romansu i uwielbienia, ale niepotrzebnie robią temi domysłami przykrość pułkownikowej, przemiłej, młodziutkiej, a wobec tego zbyt łatwowiernej osóbce.

Gdy zamknęły się drzwi za młodą kobietą, pani Gabrynia, wracając z korytarza do sypialni, by dokończyć tualetę, zatrzymała się na środku saloniku i uśmiechnąwszy się gorzko, rzuciła w przestrzeń pokoju głosem, w którym brzmiała gorycz:

— Jak oni wszyscy są bliscy prawdy i jak dalecy jednocześnie. Można mówić kłamstwo, nie kłamiąc, a prawdę, która nie będąc kłamstwem, daleką jest od rzeczywistości.

* * *

W dniu 11-go listopada, jako w dniu uroczystym zakłady fabryczne urządziły obchody.

W dniu tym fabryka była nieczynna. Już od samego rana panował nastrój podniecony. Wożono na plac ławki, urządzano ołtarz polowy. Orkiestra ustawiła się z boku. Ołtarz otoczył oddział przysposobienia wojskowego składający się z robotników fabrycznych.

Wozy turkotały bez przerwy przez cały ranek po wybrukowanych kociemi łbami dziedzińcu.

Koło jedenastej powozem dyrektora przyjechał ksiądz.

Podczas mszy św. przygrywała orkiestra, śpiewał chór fabryczny.

Po nabożeństwie na dziedzińcu odbyło się przyjęcie dla robotników, a w kasynie urzędniczym obiad dla personelu urzędniczego, księdza i zaproszonych gości.

Po obiedzie nastąpiły popisy gimnastyczne przysposobienia wojskowego, którym prócz urzędników przyglądali się prezesi i dyrektorowie, dowódca Okręgu korpusu, komisarz policji i kilku wyższych oficerów zaproszonych przez pułkownika Sznelińskiego.

Olgierd Gozdawa na specjalne osobiste zaproszenie pułkownika przyszedł na plac, pani Gabrynia wymówiła się bólem głowy.

— Odwykłam od tego towarzystwa — tłumaczyła mężowi — i bytność na placu nie da mi żadnej przyjemności. Obserwowała więc obchód tylko z okna.

Odmówiła też pójścia na bal, pomimo iż sama pułkownikowa przyszła ją namawiać.

— Zbyt dużo przykrości zaznaliśmy, by można było zapomnieć wszystkiego odrazu.

— Ależ mąż mój jest bardzo państwu życzliwy — zauważyła pani Rena jakby z wymówką, że niedosyć oceniają oni to.

— Pan pułkownik — tak, lecz jego dobroć i uprzejmość dla nas jest uczuciem czysto-osobistem i nie jest w stanie ani zmazać ani odrobić wrogiego stosunku do nas pułkownika Pragniewicza, a z nim i całego zespołu tutejszych urzędników, solidaryzujących się ze swym dyrektorem.

— — — — — — — —

Popisy udały się nadspodziewanie dobrze. Dowódca Okręgu Korpusu, proszony przez prezesa Rady Nadzorczej zakładów, rozdał nagrody i wyraził pochwałę i podziękowanie instruktorom przysposobienia wojskowego i wychowania fizycznego.

Muzyka zagrała hymn narodowy — zawodnicy wznieśli gromkie okrzyki na cześć Pana Prezydenta i p. Marszałka Józefa Piłsudskiego, żołnierskim krokiem przedefilowali przed zebraną publicznością i zginęli wśród zabudowań fabrycznych. Zabrzmiały pożegnalne odgłosy, śmiechy, sygnały samochodowe, stuk kopyt, skrzyp kół na żwirze.

Olgierd Gozdawa żegnał się z dowódczynią jeden z ostatnich.

— Państwo będą na wieczorku... zapraszała go pani Rena.

— Wątpię — odparł. — Odwykliśmy od towarzystwa tutejszego, fabrycznego, a oni od nas...

— Muszą państwo być, bardzo prosimy — nalegała.

— Naprawdę zrobią nam państwo przyjemność — odpowiedziała na jego niedowierzające, trochę ironiczne spojrzenia. — Niech państwo nie sprawią nam zawodu — dodała, uśmiechając się przymilnie jak dziecko, które napiera się czegoś, a nie jest pewne, czy wyprosi je u starszych.

— Dobrze, przyjdziemy — zgodził się, ujęty uprzejmością młodziutkiej dyrektorowej.

— Czekamy...

— — — — — — — —

Z wielką niechęcią wybierała się pani Gabrynia na ten wieczorek.

Miała ochotę rozpłakać się, tyle nerwów kosztowała ją myśl o tej przymusowej bytności na balu.

Z brwią zmarszczoną i posępnemi oczami stała przed lustrem, przyglądając się swej bladej twarzy i chmurnym oczom.

Nagle w głębi lustra zarysowała się przed nią urocza pani Rena, a obok niej jej mąż pułkownik Szneliński.

Niby prąd elektryczny przebiegło ją pragnienie podobania się, przyozdobienia swej osoby.

Na ustach jej wykwitł uśmiech, a w oczach zamigotały zuchwałe błyski rozbawienia. Ożywiła się i zakrzątnęła koło swej tualety.

Zapaliła maszynkę do włosów, z bocznej szufladki wyjęła róż i ołówek do brwi.

Zręcznie wtarła w policzki trochę różu, podcieniowała brwi i rzęsy i uśmiechnęła się do swego odbicia.

Ta sama i nie ta sama.

Twarz o odcieniu płatka róży, oczy błyszczące jak gwiazdy.

Podfryzowała włosy, włożyła sukienkę mięszaninę seledynu i „viena rose" i stanęła przed mężem.

— Dobrze?

Popatrzył na nią z uznaniem. — Dziwnie młodo i ładnie wyglądasz — zauważył zadowolony.

— — — — — — — —

W sali reprezentacyjnej panował tłok, gdy weszli.

Pierwszą osobą, którą zauważyła w tłumie pań była pułkownikowa Daszkowska, żona szefa sztabu D.O.K. O dziesięć lat starsza od swego męża, nieładna, ale elegancka i rasowa, górowała nad paniami i wzrostem i pewnością siebie i szykowną tualetą od Hersego.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

EMIL GABORIAU

Ajent policyjny

18)

— Wiesz, że to jest doskonała myśl — zawołał z ożywieniem sędzia — że też mnie to nie przyszło do głowy! Jutro z rana wybadam bez zwłoki tego człowieka, który, jako nasz więzień, będzie może skłonniejszy do zwierzeń. Wybadam również jego żonę...

Obrócił się żywo w stronę kancelisty i dodał:

— Goget, pisz no jak najprędzej rozkaz, by stawiła się tutaj u mnie żona Hipolita Szupe, a następnie, by władze więzienne i jego samego mi tutaj dostawiły.

Sekretarz zabrał się do pisania, lecz musiał przerwać tę czynność, ponieważ uczyniło się do tego stopnia ciemno że nie sposób było pisać. Kancelista zadzwonił przeto, a następnie kazał podać światło.

W tej samej chwili na progu sali ukazał się dyrektor więzienia z kapeluszem w ręku.

Od dwudziestu czterech godzin zacny ten urzędnik bardzo się niepokoił swym tajemniczym gościem, oskarżonym o zamordowanie trzech ludzi, którego kazano mu trzymać w osobnej celi, i w jego sprawie właśnie zjawił się u sędziego.

— Przychodzę się zapytać — rzekł do p. Segmullera się zwracając — czy mam i nadal, jak poprzednio, w odosobnieniu trzymać obwinionego Maja?

— Tak jest, panie.

— Kiedy, bo obawiam się tych jego szałów, w których, jak to już pokazał jest on gotów na wszystko. A znów nie bardzo bym miał ochotę trzymać go nieprzerwanie w kaftanie warjatów.

— Pozostaw go pan swobodnym w jego celi — odpowiedział sędzia — rozkaż, by się z nim łagodnie obchodzono, poprzestając na rozciągnięciu nad nim baczniejszego nadzoru.

Dyrektor skłonił się w milczeniu wobec tego kategorycznego rozkazu, a potem w te odezwał się słowa:

— Panu sędziemu udało się już zapewne sprawdzić tożsamość obwinionego?

— Niestety, nie jeszcze.

Dyrektor pokiwał melancholijnie głową z dość dwuznaczną miną.

— Kto wie — powiedział — czy moje podejrzenia nie mieszczą w takim razie ziarnka prawdy w sobie? Według mojego głębokiego przekonania bowiem, człowiek ten jest recydywista i to z rzedu najniebezpieczniejszych. Rzecz zrozumiała wobec tego, iż on pragnie jaknajstaranniej ukryć swą osobistość, wszel kich dokłada usiłowań, by nie został poznany. I przekona się pan w końcu, iż mamy w tym wypadku do czynienia z jakimś zbiegłym z Kajenny dożywotnim galernikiem.

— Hipoteza ta, jak i każda inna mylną się może okazać.

— Hm... byłbym bardzo tem zdziwiony, zwłaszcza, iż ten mój pogląd podziela i pan Żewrol również, a przecież jest on najbystrzejszym i najbardziej doświadczonym z naszych ajentów śledczych. Z tego względu jego zdania nie należałoby lekceważyć. Młodzi ajenci natomiast to są zapalone głowy przeważnie, goniący za pierwszym lepszym śladem nierzadko z zapałem do pozazdroszczenia.

Lekok purpurowy z gniewu, już się zbierał by odpowiedzieć ostro, gdy p. Segmuller pełnym powagi gestem nakazał mu milczenie.

— Mój drogi dyrektorze — rzekł następnie — uważam za nieodzowne zawiadomić cię o tym, że i ja, cóż poradzić na to? — skłaniam się do przyjęcie hipotez tego zapalonego ajenta właśnie. Nie znaczy to jednak wcale ,bym się za nieomylnego uważał. Przeciwnie, to też wiele sobie obiecuje po twej, łaskawy dyrektorze, współpracy.

— O mam ja swoje sposoby rozpoznawania swych byłych lokatorów, to też mam niepłonną nadzieję, że przed upływem dwudziestu czterech godzin uda mi się stwierdzić osobistość tego mniemanego Maja.

I po zapowiedzi tych swych wielkiej doniosłości czynów, ufny w siebie dyrektor wyszedł majestatycznie za drzwi.

— Widzi pan sędzia — zawołał po jego wyjściu wzburzony Lekok — jaki to jest ten Żewrol! Już mi rzuca kamienie pod nogi, źle mówi o mnie, zazdrości.

— A cóż ci to szkodzi? Na razie masz w ręku sprawę, która cię wydźwignąć może. Jeżeli zaś ci się to nie uda, to i ja padnę wraz z tobą.

Po słowach tych pan Segmuller ze względu na bardzo spóźnioną porę, zaczął się żegnać z młodym ajentem, dając mu do rąk przytem dowody rzeczowe, przez niego poprzednio zebrane: kolczyk oraz list Lacheneura, znaleziony w kieszeniach Gustawa, rzekomego żołnierza, a także polecając, ażeby nie omieszkał się stawić u niego nazajutrz.

XXIII.

Gdy Lekok znalazł się po wyjściu z gabinetu na korytarzu, wyjrzał natychmiast po przez pierwsze napotkane okno, by się przekonać, jaka też panuje na dworze pogoda? I się przekonał, iż jest bardzo pomyślna. Było stosunkowo ciepło i przestało padać, tak, iż trotuary były nieomal suche.

Na dole, na ulicach, przewalał się Paryż w bezustannym ruchu, tysiące i tysiace przechodniów w najrozmaitszych mknęło kierunkach, zaś po jezdni pędziły szybko całe setki pojazdów, omnibusów i dorożek.

Na ten widok z piersi młodego ajenta wydarło się westchnienie.

— Cóż za olbrzymie miasto! — zawołał w zwątpieniu — i mnie się zamarzyło odszukać w niem nieznanego mi zupełnie człowieka... Czyż to możliwe?!

Jego chwila słabości trwała jednak bardzo krótko.

— Nie możliwe?... Nie, dla chcącego niema niemożliwości. Trzeba tylko chcieć, gorąco, ze wszystkich sił pragnąć, a wtedy stanie się marzone. Ja chcę, chcę mocno, a więc rozwiążę tę tajemniczą sprawę!

W minutę potem był już na ulicy, więcej niż kiedykolwiek podniecony i pełen wiary w zwycięstwo.

Niestety, pragnienia człowieka nieograniczone bywają, podczas gdy środki do celu wiodące są ograniczone zawsze. Młody ajent nie zrobił stu nawet kroków, gdy uczuł, iż nogi się pod nim chwieją i kręci mu się w głowie. Natura ma swoje prawa. Lękok dwa dni i dwie noce spędził na bezustannej i ciężkiej bardzo pracy, przyczem, z przyczyny braku czasu, obywał się bez pożywienia nieomal.

— Cóż u djabła! — zawołał, padając na pierwszą napotkaną ławkę — czyżbym miał zemdleć, jak pierwsza lepsza histeryczka?

A tu tyle pracy przed nim! Przedewszystkiem musi się zobaczyć z Nalewajką, by się dowiedzieć, jak też udało mu się polowanie w mordze? Sprawdzić ma następnie, w hotelikach w pobliżu Północnego Dworca się znajdujących, o ile zeznania oskarżonego, dotyczące pozostawienia w jednym z nich walizy — są z prawdą zgodne?

Wreszcie odnaleźć miejsce zamieszkania Hipolita Szupe, ażeby jego żonie doręczyć wezwanie.

Pod presją tego ogromu czekającej nań pracy, Lekok zebrał wszystkie swe mdlejące siły, wyprostował się, a następnie powstał, ze słowy:

— Choćby mi paść przyszło, to i tak pójdę na ulicę Jerozolimską i do morgi. Co zaś będzie dalej? — to się zobaczy.

W Prefekturze Lekok nie zastał jednak Nalewajki, przyczem nikt nic mu nie mógł powiedzieć o nim. Poczciwina od rana nie pokazał się w urzędzie, przypuszczano więc, iż godziwie święcił dni zapust wesołych. Nie znalazł również w Prefekturze żadnych danych, któreby poinformować mogły o miejscu zamieszkania synowej wdowy Szupe.

Natomiast wysłuchać musiał wielu drwin i przycinków ze strony kolegów, którzy najwidoczniej kpili sobie z niego.

— Patrzajcie na tego jaśnie pana — — zewsząd wołano — bez kija do niego nie przystępuj. Sławny odkrywca rzeczy, których nigdy nie było! Podobno już dostałeś żelazny krzyż... z marchwi!

Znać było wpływ Żewrola. I istotnie, zazdrosny inspektor opowiadał każdemu kto go chciał słuchać i nie chciał, że temu biednemu Lekokowi ze zbytku gorliwości (cóż chcecie? — gonitwa za awansem) pomieszało się w głowie i to do tego stopnia, że najzwyklejszego złoczyńcę brał za jakąś znakomitość przebraną.

Docinki te spłynęły jednak po Lekoku jak woda.

— „Ten się śmieje dobrze, kto się śmieje ostatni“ — powiedział sobie w duchu.

Niepokoił się tem tylko, po opuszczeniu Prefektury, że niemógł sobie wytłumaczyć niczem nieobecności starego Nalewajki?...

Nie lepiej mu się poszczęściło w morydze. Dozorca zakładu tego poinformował go bowiem, że trupy do tej chwili nie zostały poznane, a także, iż nie widział później ajenta, który stróżował z ra na.

— Jak się okazuje — pomyślał sobie Lekok — to moje pierwsze poczynania nie są najszczęśliwsze bynajmniej. Wobec tego najlepiej będzie iść teraz na obiad i uraczyć się przytem butelką dobrego wina, na którą rzetelnie chyba zarobiłem?...

Talerz buljonu, porcja smażonego mięsa i parę szklanek dobrego Bordeaux dodały mu energji i bodźca do nowych trudów. Znużenie nie opuściło go wprawdzie, czuł się jednak wcale znośnie. Wsiadł do omnibusu idącego w stronę Północnego Dworca, około którego wysiadł i wziął się do poszukiwań niezwłocznie.

Nie wchodził do domów dla przyjezdnych w charakterze ajenta policyjnego, rzecz prosta, tym sposobem nie dowiedziałby się niczego bowiem.

Zaczesał czuprynę w tył, podniósł kołnierz od paltota, nadając sobie tym wygląd cudzoziemca i z akcentem mocno angielskim wypytywać się zaczął o swego przyjaciela, również jak i on zagranicznego rzemieślnika.

Nie dawało to jednak rezultatu, wszędzie bowiem mu odpowiadano:

— Nie widzieliśmy nikogo podobnego.

Temu niepowodzeniu Lekok nie dziwił się bynajmniej, był przekonany bowiem, iż morderca tę całą bajeczkę o swej pozostawionej rzekomo walizce, poprostu skomponował, ażeby tym dać cechy prawdopodobieństwa opowiadaniu swemu.

Notował wszystkie odwiedzane hotele, w tej myśli jednak tylko, ażeby wytknąć obwinionemu jego kłamstwo.

Po dobrej godzinie podobnych poszukiwań, stanął przed niewielkim hotelikiem Marienburskim, znajdującym się przy ulicy St. Quentin. Był to dom skromnej powierzchowności, robiący jednak wrażenie bardzo schludnego i czystego.

Młody policjant po otworzeniu szklanych drzwi, opatrzonych dzwonkiem bardzo rozgłośnym, dającym znać o przybyciu obcego, znalazł się w przedsionku, a następnie wszedł do kantoru, który się znajdował w pokoiku wybitym jasnym papierem i oświetlonym lampą gazową.

Za biurkiem w kantorze tym siedziała kobieta ,która go powitała uprzejmym lecz dosyć surowym uśmiechem.

— Pani — rozpoczął rozmowę Lekok — pragnąłbym zobaczyć się z właścicielem, czy właścicielką tego hotelu.

— Ja nią jestem właśnie, panie.

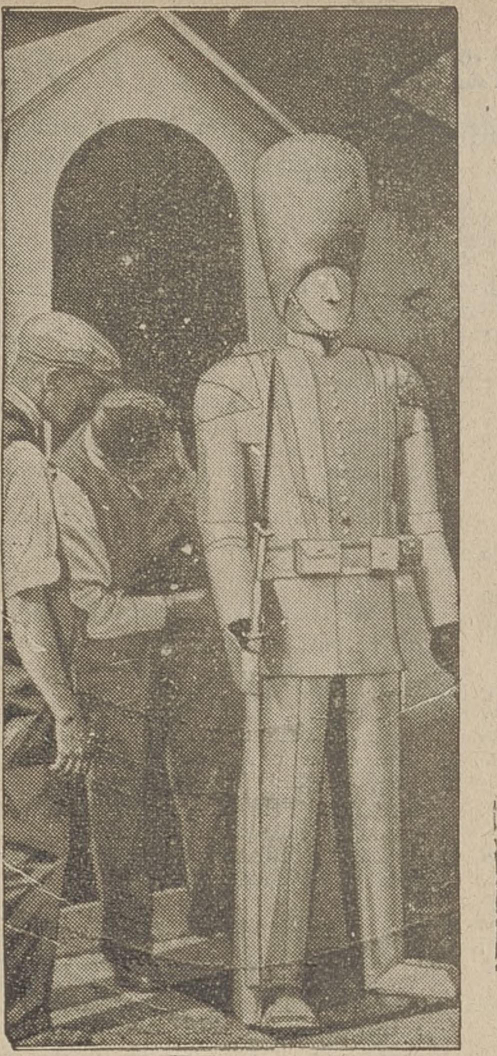
— A więc doskonale się składa. Sprawa moja jest taka: Naznaczyliśmy sobie, ja z mym kolegą po fachu, również w Lipsku do ostatniej chwili pracującym, miejsce spotkania w hotelu Marienburskim. Przyszedłem się więc zapytać, czy ten kolega mój, nazwiskiem Maj, zamieszkał już u pani, czy też może jeszcze nie przyjechał?

— Maj?... powtórzyła gospodyni, — szukając w pamięci — Maj?...

— Powinien był przybyć do Paryża w niedzielę wieczorem.

Fizjonomja kobiety rozjaśniała się.

— Zaraz, zaraz!... zawołała, przysłaniając sobie dłonią oczy — czy ten robotnik nie był mężczyzną w pewnym już wieku, średniego wzrostu, brunet, z pełnym zarostem i z oczami silnie błyszczącemi?



Z okazji wielkich pokazów lotniczych na lotnisku Heston w pobliżu Londynu, ustawiono przed wejściem na lotnisko „robota", zamiast wartownika.

Lekok drgnął. Był to rysopis mordercy.

— Ma pani przewyborną pamięć wzrokową — zawołał — mój znajomy wygląda tak właśnie. Mogę więc udać się do niego?

— Niema go w domu, panie, ale to cała historja. Otóż stanął on u mnie przed wieczorem ,w niedzielę zapustną. Poprosił o pokój jak najtańszy, to też dałam mu numer na piątem piętrze dopiero. Zaniósł do pokoju tego sam swą walizkę, dał mi zadatku dziesięć franków i oddalił się natychmiast. Od tej chwili już go niewidziałam. I muszę się panu przyznać, iż jestem bardzo o niego niespokojna, to też już wczoraj dałam znać do komisarjatu o jego zniknięciu.

— Wczoraj?... Wczoraj?...

— Tak. Nie wiem tylko, czy polecenie to moje spełniono. Zapomniałam o tem na śmierć. Pozwól, iż zadzwonię i zapytam o to numerowego.

Gdyby ktoś Lekokowi z wysokości trzeciego piętra wylał na głowę wiadro zimnej wody, nie byłoby to na nim sprawiło większego wrażenia, jak to niewinne oświadczenie właścicielki hotelu.

— Więc morderca mówił prawdę?... Czyż to możliwe?! A więc Żewrol i dyrektor więzienia mieliby słuszność?! Lecz w takim razie i on i pan Segmuller są kretynami oczywiście!

Runął domek z kart! I gdybyż w błoto tylko! Lecz nie, stokroć gorzej, bo w oceanie śmieszności pogrążył się cały.

Wszystko to jak błyskawica przeleciało przez umysł ajenta. Nie miał jednak czasu na namysły, ponieważ zawezwany, numerowy zjawił się w tej chwili.

— Fryc — zapytała gospodyni — byłeś u komisarza, jak ci kazałam? Cóż powiedział?

— Nie zastałem go i z tej przyczyny zdałem raport jego pomocnikowi, który zbył mnie krótko, mówiąc, iż tutaj będzie.

— Tak mówił?... A jednak go nie było?

Chłopiec uniósł ku górze obie ręce, rozkładając je bezwładnie, co starczyło za odpowiedź: „a cóż ja jestem winien temu"?

— Oto, jak sprawy twego znajomego stoją — rzekła gospodyni, przyczem wyraz jej twarzy wyraźnie wskazywał: idźże sobie z Bogiem człowieku.

Wyprosić jednak za drzwi Lekoka, gdy ten nie życzył sobie tego, nie było rzeczą łatwą.

— Pani — powiedział — dowiedziałem się z tego wszystkiego, iż jakiś człowiek, który stanął u ciebie w niedzielę wieczorem — przepadł bez wieści. Bardzo pięknie! Ja jednak nie mam żadnej pewności, czy to był mój przyjaciel właś nie. To też byłbym bardzo szczęśliwy, gdybyś tak zechciała sprawdzić w książkach, czy ten zaginiony jako Maj został zapisany?

— Ależ mogę pokazać panu księgę przyjezdnych! Owszem, owszem! Znajduje się ona w tej oto, zamkniętej dla porządku, szafie! Masz tobie, jednak znów mi się gdzieś zapodział ten kluczyk przeklęty!

W czasie, gdy gospodyni, o móżdżku jak gadające ptaki, przewracała wszystko w swym kantorku, Lekok z pod oka przyglądał się jej z dużą uwagą.

Była to kobiecina lat około czterdziestu, jasna blondynka, o bujnych i obfitych włosach, doskonale zakonserwowana, jak to zazwyczaj z blondynkami bywa, świeża, biało-różowa i pulchna do tego stopnia, iż w jej gorsecie było aż nadto obficie, cała jak dojrzały owoc, który, gdy się go ugryzie, rozlewa się cały w ustach ,soczysty, wonny i smaczny. Jasno niebieskie jej oczy rzucały spojrzenia dziecka, zaś jej obejście było pełne szczerości, naiwnej swobody i naturalności.

— Ach! — zawołała w pewnym momencie, głosem pełnym radości — znalazłam ten klucz przeklęty! I co pan powie, że go ot tutaj, w kieszeni miałam!

Mówiąc to, wskazała na kieszonkę fartuszka, z prześlicznym grymasem jasno różowych usteczek.

Znalezionym kluczykiem otworzyła szafkę natychmiast, następnie wyjęła z niej księgę meldunkową, którą złożyła na stole, już przed tem przerzucając jej kartki do chwili, aż odnalazła stronnice poszukiwaną.

— Niedziela ,dnia 20 lutego — rzekła — oto pan masz i sam przeczytaj napisane, ot tutaj w siódmym wierszu: „Maj — bez imienia — przybył z Lipska — artysta cyrkowy — papierów żadnych nie posiada".

Lekok meldunkowi temu przyglądał się wzrokiem zupełnie ogłupiałym.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

NIEDZIELA

Dzień dziś deszczowy, — i szary, — i chłodny.
Niedziela — więc czas wlecze się też wolniej,
Pierzchły, chochliki humoru swawolne
I silnych wrażeń jestem tylko głodna...

Może przyniesie mi je radjo moje
Lub gazet pliki z dalekiego świata.
...Nuda z szarością w niedzielę się brata —
Czy wyrwie mię coś z sennego spokoju?...

Danuta Wyrybkowska.

BRAK TOWARZYSTWA

„Orłowski Marzyciel" nawiąże chętnie z kimś korespondencję. Oto Jego liścik:

„Wyprowadziłem się z rodzinnej wioski do Orłowa. Nie mam tu żadnej znajomości, dlatego zwracam się do Pani. Może ktoś do mnie napisze?

Jestem młodym, wysokim, doskonale rozwiniętym mężczyzną. Ładnym nie jestem, ale za to uwielbiam „płeć piękną". Chciałbym poznać bratnią duszę, która również czuje się samotna i opuszczona."

„NAPEWNO"

„Alraune." Droga Pani, kto wie, czy nie lepiej, że się znamy tylko na odległość i porozumiewamy drogą korespondencji. Taka przyjaźń na odległość jest czasem idealniejsza i więcej posiada uroku niż przyjaźń bliska i bezpośrednia.

Liścik Pani był bardzo ładny i miły, część jego oddaję niżej do druku, aby „napewno" ktoś napisał:

„Pani Zosieńko! daję i ja mói apel do przesłodkiej „Krainy szczerości." Jestem 23-letnią blondynką o szafirowych oczach, wzrost 172 cm. Nazywają mnie w domu „dziewczęciem smutku" — nie wiem sama dlaczego, może dlatego, że nigdy się nie śmieję, jestem zawsze smutna, aż nazbyt sentymentalną, egzaltowaną, wrażliwą na wszystko co piękne. Kocham to wszystko, co brzydkie i wzgardzone, bo tego nikt nie kocha, i o tem nikt nie pamięta. — Chciałabym znać „kogoś", z kim mogłabym mówić dużo — i o wszystkiem. Musi dużo wiedzieć, głęboko odczuwać, musi umieć patrzeć w dal życia jasno i prostolinijnie i musi być dobry... subtelny. Lubię podróż, naturę... a nadewszystko piękno i czar dzikich ukraińskich stepów...

Może przemiła „Biała Uajali" napisze do mnie, bo pierwsza nie mam odwagi się do Niej odezwać ...i może jeszcze ktoś... ale „napewno" nikt do mnie nie napisze?..."

SKORZYSTAM Z ZAPROSZENIA PRZY SPOSOBNOŚCI

„Gdyńska Trójka." Ślicznie dziękuję za zaproszenie, z którego nie omieszkam przy sposobności skorzystać. Pozdrowienia z nad Bałtyku otrzymałam i przesyłam ich również moc, odwrotną pocztą.

Za propagandę „Moich Powieści" osobno dziękuję.

NIE WARTO...

Romkowi — poświęcam.

Nie wrócą, nigdy nie wrócą,
Chwile mych młodych lat,
Choć wiosna co roku powróci,
Łąka ubierze się w kwiat.
Na cóż mi słonka promienie,
Gdy w duszy szara noc,
Na cóż nieznane witać nadzieje,
Gdy losu zniweczy je moc?...
Rzucić się w wir nieznany,
I jak automat żyć,
O niepowrotnych chwilach
W złudnem marzeniu śnić.
Z aroganckim gestem,
Odepchnąć szczęścia sny
I śmiać się śmiechem serdecznym...
— — — — — —
Choć gorzkie płyną łzy!...

Kiersznowizna, w czerwcu 1935 r.

„Biała Uajali".

ADRESY SĄ TAJEMNICĄ REDAKCJI

„Romantyk XX-go wieku." Dziękuję Panu z głębi serca za serdeczne słowa uznania. Słowa takie są dla mnie najmilszą podzięką i zapłatą za pracę.

Adresów, o które Panu chodzi w liście, nie mogę nadesłać, gdyż są one wyłączną własnością redakcji. Najlepiej będzie, gdy Pan napisze liściki do wspomnianych osób i prześle je za mojem pośrednictwem. Ciekawa jestem, jak Pan zareaguje na moją radę?

Wierszyki, zgodnie z życzeniem, oddałam do Teczki Wujka Janusza. Ocena ich była w jednym z ostatnich numerów „Moich Powieści." Czy znowu Pan coś napisze i nadeśle nam do druku?

ŻYCZENIOM UCZYNIŁAM ZADOŚĆ

„Fela" przesyła za mojem pośrednictwem pozdrowienia dla: „Pella", „Smutnej Mirjam", Śląskiego Sokoła", „Iwana Orłowa", Smutnego Flora", i Irka", oraz zapytuje, czy powyżsi Sympatycy nie skreśliliby do Niej kilku słów. A może ktoś z okolic Krakowa, Krynicy, Piwnicznej i Nowego Sącza?

Życzeniom Pani uczyniłam zadość, kończę więc odpowiedź pozdrowieniami i życzeniami wesołych i szczęśliwych wakacyj, oraz powodzenia w korespondencji.

I CO MI Z TEGO?...

I co mi z tego, że patrzę w zachwycie
Na słońce, które wstaje w zórz powodzi...
— Gdy takie szare jest to ludzkie życie
I każdy dzień tysiące smutków rodzi.
I co mi z tego, że na świecie jasno
I że się słońce swoim torem toczy,
Gdy memu sercu jest w piersi za ciasno
I łzy srebrzyste napełniają oczy.
I co mi z tego, że dziś jestem młodą,
Że mam na życie otwarte źrenice?...
— Gdybym wiedziała, dokąd mnie zawiodą
Moje marzenia i moje tęsknice...
Prawda — że czasem — złoty sen się ziszcza
I bezpowrotnie mija to co boli.
— Często zostają jednak marzeń zgliszcza...
I dobroć serca — i — niezłomność woli.

„Jadźka z Kujaw".

KTO WIE?

„Marzycielka z pod Kościana". Niezmiernie byłam uradowana, że po tak długim okresie zdecydowała się Pani do mnie napisać. Chyba teraz częściej otrzymam jakieś wiadomości od Pani?

Pozdrowienia załączone przez Panią dla „Kaliny" i „Marzyciela z pod Kościana" przekazuję. Pisze Pani, że każdy list otrzymany od Sympatyków, sprawi Jej dużo radości. Może więc „Marzyciel z pod Kościana" się odezwie? Kto wie, czy tak samo jak bliźniaczo podobne są pseudonimy, nie będą podobne charaktery i zapatrywania „Marzycielki" i „Marzyciela" z pod Kościana"?

SZKODA, ŻE TAK PÓŹNO...

„Słodka Gilda." Szkoda, Kochanie, że dopiero teraz napisałaś do mnie. Jeżeli już tak dawno abonujesz „Moje Powieści", mogłaś już wcześniej zdobyć się na stanowczy krok i wejść w kontakt z „Krainą". Poznałybyśmy się wtedy prędzej, a twoje marzenie o bratniej duszy, przybrałoby już może realne kształty. Jednakże nic straconego, zwłokę uda się jeszcze nadrobić. W tym celu oddaję wyjątek z Twojego listu do druku i równocześnie proszę, o ile to możliwe, o nadesłanie mi bezpośredniego adresu, gdyż z „poste-restante" bardzo często listy się wracają, nie odebrane w oznaczonym terminie.

„Marzeniem mojem to znaleźć bratnią duszę. Może który z panów skreśli kilka słów do mnie? Na nudy narzekać nie mogę, gdyż praca biurowa w zupełności je pochłania. Jestem wysoką, szczupłą brunetką o piwnych oczach, usposobienia wesołą. Lubię bardzo samotne przechadzki wśród lasów i łąk, jednem słowem lubię wszystko co piękne."

OSTATNIE BZY...

Ostatnie już bzy — żegnają uśmiechem
majowe noce... żegnają w tej chwili
te dni — co przeszły tak szybko — z pośpiechem,
tak — jak rój — tęczowych motyli...

Ostatnie bzy... szepcą mi cichutko —
ostatnie — „żegnaj" — którem mnie żegnałaś.
Ścielą na duszy głęboki cień smutku,
że tylko tak krótko mnie kochałaś...
— — — — — — —
Zachód słońca ostatnie liście bzu wyzłaca,
melancholijnie pieści... i całuje.
Te białe bzy... smutne nieskończenie —
są niemym krzykiem — tego — co nie wraca...
Patrzą z zadumą w dal nieobjętą —
tam — gdzie odeszły chwile rozstania...
Są — jak bez skargi ciche zapomnienie—
ślą nam ostatni uśmiech pożegnania.
W piersiach coś łka... skarży się i boli.
Na duszę smutkiem i żalem ściśniętą —
deszcz białych bzów... opada powoli.
— — — — — — —
Przeminął już maj... i złote marzenia,
i uśmiech twój — już teraz nie płonie...
Cierpię — bo mi jakaś mara Wspomnienia,
kładzie dłoń zimną na skronie.

Kiedyś — cichą nocą — sen o gwiazd mozajce...
O tych białych bzach... i tylu pięknych dniach,
przeminie... zagaśnie... jak w bajce.

„Biały Murzyn".

PAMIĘTAJ!

„Ryśka D." Już tak się przyzwyczaiłam do odbierania Twoich serdecznych liścików, Kochana Dziewczynko, że nie wiem, jak potrafiłabym się bez nich obyć. Uśmiałam się znowu szczerze z tych Twoich przeróżnych przygód, które napozór są takie nic nie znaczące, a jednak komiczne i w późniejszych latach stanowiące temat do słodkich wspomnień.

Załączony liścik przesłałam. Czy otrzymałaś już „Rysieńko", odpowiedź? Jeżeli tak, wyobrażam sobie Twoją radość.

A teraz już kończę. Proszę, pamiętaj, że czekam na nowy liścik, a przedewszystkiem na telefon. Czy też Ci się uda „Rysiu", do mnie zadzwonić, ciekawam!

POMYŚLIMY NAPEWNO

„Pacol." Szlachetne i trzeźwe poglądy Pana ujęły mnie bardzo. Przyznaję im słuszną rację. Sądzę jednak, że zlikwidowanie kącika, o który Panu chodzi, wywołałoby u wielu Czytelników protest i niezadowolenie. O wywodach Pana pomyślimy jednak napewno i postaramy się im dać choć w części jasne i konkretne zrozumienie.

Bardzo mi przykro, że otrzymuje Pan tak nieregularnie „Moje Powieści." Winę w tem ponosi zapewnie poczta. Jeżeli będzie się to powtarzało nadal, radzę Panu zwrócić się w tej sprawie do urzędu pocztowego, w którym Pan zawsze zamawia czasopismo.

Łączę jak najserdeczniejsze pozdrowienia.

NIE MINĄ BEZ ECHA

„Amazonka" przesyła pozdrowienia „Smutnemu Waldiemu" i „Aromantowi". Jeżeli powyżsi Panowie skreślą do „Amazonki" parę słów, otrzymają już w krótkim czasie wyczerpującą odpowiedź. Słowa zachęcające, więc zapewnie nie miną bez echa.

List, o który Ci chodzi w liście, Kochana „Amazonko", wysłałam. Czy dotąd nie otrzymałaś odpowiedzi?

NADZIEJA

„Żubr". Oryginalnie ujęty, i pełen nastroju liścik Pana przeczytałam z prawdziwą przyjemnością. Postaram się kolejno spełnić prośby „ptaszyny". Przedewszystkiem miło mi przyjąć Pana do grona Przyjaciół „Krainy" i nie mniej miło przedstawić wszystkim Sympatykom: a więc „Żubr" to 20-letni młodzieniec lubiący szczerość i prawdę. Przesyła pozdrowienia „Zizi" i „Ikrze" i żywi nadzieję, że choć jedna z Pań napisze do Niego. I ja sądzę, że tak będzie!

KAŻDA CZYTELNICZKA

„Moich Powieści" powinna być prenumeratorką Ilustrowanego Dwutygodnika kobiecego p. t.

„MOJA PRZYJACIÓŁKA", który kosztuje

TYLKO 80 GROSZY MIESIĘCZNIE

„Moją Przyjaciółkę", w której „Pani Zofja" prowadzi popularny dział „My — kobiety — między sobą" — czyta każda kulturalna, praktyczna i oszczędna Pani. P.K.O. 209.062. Wystarczy adresować:

„MOJA PRZYJACIÓŁKA" ŻNIN.

NIE SPRAWIA MI TRUDU

„Dzika Cyganka." Kochanie! Proszę mi wierzyć, że częste odczytywanie listów, otrzymanych od mych Sympatyków nie sprawia mi absolutnie żadnego trudu. Skądże! Jedynie przysparza mi dużo zadowolenia i satysfakcji. Myślę, że nie będziesz już teraz, zabierając się do pisania listu do mnie, robiła sobie wyrzutów, że mi sprawiasz fatygę, prawda?

Jak mi wiadomo, „Sygurd" bardzo lubi korespondować, to też ucieszy się niewątpliwie, gdy się dowie, że przesyłasz Mu pozdrowienia i wyrażasz chęć nawiązania z Nim korespondencji.

Również „Novarro" przyjmie Twoje pozdrowienia i uścisk dłoni z takiem samem zadowoleniem. Jestem przekonana!

Na zakończenie, Kochane Dziewczynki: „Dziką Cygankę" i „Amazonkę" ściskam i całuję serdecznie.

CZY SPRAWIŁA ZADOWOLENIE?

„Melonta Vulgaris." Za ujmująco wydaną opinję o „Moich Powieściach" — serdecznie dziękuję.

Do naszej licznej „Rodziny" oczywiście przyjmuję Pana jak najchętniej. Pragnęłabym, aby się Pan w niej czuł jak najlepiej i uważał mnie za swoją przyjaciółkę, do której można szczerze pisać o wszystkiem: i o rzeczach smutnych i radosnych, o tem co boli i cieszy, jednem słowem, aby mnie Pan darzył zaufaniem.

List wysłałam. Czy odpowiedź na niego sprawiła dużo zadowolenia?

TWOJA PRZYJAŹŃ?

Gwiazdy jasne migocą, śmieją się do siebie,
Ślą księżycowi uśmiechy i blaski,
Białe chmurki błąkają się jeszcze po niebie,
Jakgdyby wciąż prosiły księżyca o łaski.

Noc jest cicha, łagodna i w sercu pogodnie,
Wiem, że nie sama jestem na szerokim świecie,
Że chociaż troska nieraz, kłopot myśli gnieciе,
Przyjaźń posiadam twoją niezawodnie.

Noc jest cicha, a ranek jutra jakim będzie,
Słoneczny, czyli deszczu powitany łzami,
A czy przyjaźń zostanie zawsze między nami,
Czy może na niej chmurka niezgody osiędzie?

H. Kraśna.

CZEKAM

„August." Z przesłanych wierszy pójdą do druku „Ozwij się serce" i „Chciałbym" „Wiosna" odłożona do teczki, gdyż narazie wiersz ten jest nieaktualny.

Dlaczego Pan się krępuje opisać mi swoje przeżycia smutne i radosne? Czy przypuszcza Pan, że nie przeczytam ich z chęcią i zainteresowaniem? Boi się Pan mnie znudzić? Jeżeli tak, zapewniam Pana, że te przedwstępne wahania są nie na miejscu, gdyż miło mi będzie otrzymać szczery i długi list, w którym obdarzy mnie Pan całkowitem zaufaniem. Czekam więc.

Osoba, o którą Pan pyta, nie jest właścicielką podanego adresu.

Pozdrowienia, załączone przez Pana dla „Aldony 1910", „Słodkiej Psyche" i „Samarytanki" — przekazuję. Panu zaś przesyłam serdeczny uścisk dłoni.

KTÓRA?...

„Biały Djabeł." Pseudonim „groźny", niejednego zapewnie przestraszy, pośpieszam więc wyjaśnić, że „Biały Djabeł" to stały i wierny Czytelnik „Moich Powieści" — mieszkaniec wsi. Skarży się na brak towarzystwa „płci pięknej." Wprawdzie urządzane z kolegami wesołe wycieczki, sprawiają mu dużo zadowolenia, jednakże wolałby je urządzać w towarzystwie pań. Która więc z Sympatyczek zdobędzie się na „odwagę" i napisze?...

Bardzo żałuję, że nie podał Pan nazwy miejscowości, w której zamieszkuje, gdyż bez tego, będzie znacznie trudniej znaleźć towarzyszki letnich wycieczek.

OZWIJ SIĘ...

Ozwij się serce, co mię zrozumiesz,
Co subtelnością swą wyczuć umiesz,
Harmonję dźwięków strun naszych duszy,
Co serce wzruszy.

Rozbłysły by nam zórz jasne świty,
Wznosząc nas w górę hen! w zwyż! w błękity!
A szczęście nasze byłoby trwałem,
Jak skał granity.

„August."

APEL!

„Halina". Mieszkanka większego miasta w woj. poznańskiem, w wiosennym wieku, mówią, że ładna (brunetka) nawiąże chętnie korespondencję z sympatycznymi, interesującymi panami, celem wzajemnej wymiany swych myśli. Interesują ją opisy krajobrazów i innych miłych widoków. Na każdy list chętnie odpisze i prosi o nadesłanie kilku słów pod pseudonimem „Halina", do redakcji „Moich Powieści".

Apel ten niejednego napewno zachęci do napisania miłego listu, zwłaszcza, gdy zdradzę zainteresowanym, że nie zawiodą się, prowadząc korespondencję z p. „Haliną".

SPRAWIŁY MI ZADOWOLENIE

„Samotna Konwalja." Przesłane mi przez Panią fotografje, sprawiły mi ogromne zadowolenie. Dziękuję serdecznie! Na zbiorowym zdjęciu poznałam Panią bardzo łatwo.

A teraz coś niecoś o załączonych do listu wierszykach. Przykro mi niezmiernie, że nie mogę uczynić zadość życzeniom Pani i oddać przesłanych utworów do druku, jednakże są one tak słabe, że pomimo najszczerszych chęci nie mogę o tem pomyśleć. Może Pani spróbuje jeszcze raz coś napisać? Radzę krótko i zwięźle. Na zakończenie maleńka uwaga: proszę, niech Pani zawsze pisze utwory przeznaczone do druku po jednej stronie papieru.

Przypuszczenia Siostry i Pani, jakobym była mężczyzną, są mylne. Sądzę, że łatwo nawet wyczuć po dawanych odpowiedziach, że jestem kobietą?

Prosząc o dalszą pamięć, przesyłam Pani serdeczne pozdrowienia i wyrazy sympatji.

NAJLEPIEJ NABYĆ ROCZNIK

„Arkadjusz." Bardzo mi miło było się dowiedzieć, że za pośrednictwem „Moich Powieści", zdobył Pan sobie tyle zadowolenia. Oby go jak najwięcej przysparzał Panu czas, no i nadal nasz tygodnik.

Książkę „Wśród warjatów", mam wrażenie, nie dostanie się łatwo kupić, gdyż jest to bardzo stare wydawnictwo. Najlepiej będzie, gdy wspomniana w liście Pani, kupi rocznik „Moich Powieści", który można u nas nabyć.

Za pozdrowienia, ślicznie dziękuję i przesyłam ich Panu również moc.

DWIE POMORZANKI PRAGNĄ KORESPONDOWAĆ

„Rena" i „Terenia." Kochane Dziewczynki! Oczywiście, że do „Krainy" przyjmuję Was z miłą chęcią, tak samo oddaję do druku wyjątki z Waszego listu, które posłużą, mam wrażenie, jako niezawodny apel:

„Mieszkamy na wsi, pięknie położonej. Jesteśmy 18-letniemi Pomorzankami. Pierwsza z nas, to znaczy „Rena" jeździ konno, ubóstwia muzykę i pięknie maluje. Jest szczupłą, posiada czarne, figlarne oczy, no i jest szalenie wesołą!...

Druga zaś „Złotowłosa Terenia" jest wysoką, dość szczupłą o oczach jak niebo. Uprawia dużo sportów, marzy i kocha wszystko co piękne, wzniosłe, co kochania warte!

Z braku szerszych znajomości pragniemy nawiązać korespondencję z jakimś szczerem serduszkiem."

BRAK TOWARZYSTWA

„Dagna". Za miłe i ujmujące słowa dziękuję Pani z głębi serca. Część listu Pani oddaję do druku, napewno po jego przeczytaniu, napisze do Pani ktoś z Sympatyków i w ten sposób dotkliwy brak towarzystwa, który przyznaję jest bardzo niemiły, zostanie usunięty raz na zawsze. Oto słowa Pani:

„Widząc, jak za pośrednictwem Drogiej Pani, sympatycy nawiązują z sobą korespondencję, chciałabym i ja chętnie to uczynić. Pochodzę z rodziny ziemiańskiej. Wieś zarówno jak i las kocham nad wyraz, pozatem wszystko co piękne, dobre i szlachetne. W okolicy, w której zamieszkuję, brak zupełnie odpowiedniego towarzystwa „dlatego chciałabym urozmaicić sobie korespondencją wolne od zajęć chwile. Postaram się, aby wymiana myśli ze mną była interesującą".

Teczka Wujka Janusza

NIE ZNAM

„Irena." Książki, o które Pani pyta, nie znam. Najlepiej będzie, gdy zwróci się Pani w tej sprawie do większych księgarń. Jeżeli bywa Pani często w Poznaniu, nie sprawi to Pani zbyt wielkiego trudu.

Za serdeczne słowa — Bóg zapłać! Pozdrowienia dla „Kaliny" „Jadźki z Kujaw" i „Małej Konwalijki" — przekazuję. Łączę wyrazy szacunku i zapewnienie, że każdy list Pani powitam z radością.

Z ZA KOTAR MARZEŃ

Czy czujesz czasem w ciche, księżycowe noce,
Gdy myślą swą nawiedzasz wspomnień wirydarze,
Że ja jeszcze, jak dawniej, wciąż o tobie marzę,
Że mnie gnają do ciebie dziwne jakieś moce?...

Czy wiesz, że się w udręce dusza ma szamoce,
Że gdy północ wybije na miejskim zegarze,
Dziwna siła o tobie myśleć mi wciąż każe,
I gna do ciebie żwawo me serce sieroce?...

Dzisiaj, po latach wielu, po długiej rozterce,
Z grobu naszej przeszłości, pełnej pyłu, pleśni,

Wskrzeszę zamarłą miłość i ubiorę w pieśni.
Dziś szron obojętności, co oplótł me serce,

Potęgą mej miłości roztopię w mej pieśni,
I będziem śnić na nowo sen, co się nie prześnił...

Rogoźno, w czerwcu 1935 r. *„Ord-Om."*

ADRES

P. M. Ch. Wiersz z dedykacją ukaże się w następnym numerze, natomiast drugi, poświęcony „Paziowi", jest za słaby do druku. Może Pan napisze inny?

Od pewnego czasu spoczywa w redakcji list dla Pana. Apelowaliśmy już raz o dokładny adres, lecz bezskutecznie. Chyba teraz redakcja nie będzie potrzebowała długo czekać na niego, prawda?

Jak zwykle, łączę serdeczne pozdrowienia i przyjacielski uścisk dłoni.

KOZACZY LOS

Fragment „Kozaczej doli"

Smutna ma kozacza dola —
Nijak mi samemu żyć,
Tylko z wichrem gnać po polach,
Z wichrem gadać o swych bólach
I z rozpaczy z wichrem wyć.

Czego ból tak srodze męczy,
Duszę smętną jako step,
Czego tą rozpaczą dręczy,
Czego wśród kurhanów jęczy
I omota troską łeb?

Taka już dola kozacza
I taki sobaczy los:
Błądzić jak mara tułacza,
Prosić jak ręka żebracza
O litość — na cały głos...

— — — — — — —

O zmianę, o lepszy los.

Maryla Wawrzyńczakówna.

ŁATWE ALBO NIEMOŻLIWE

„Ka-er". Trudno utwory Pana nazwać wierszami, raczej rymowaną prozą. Wątpię, czy wogóle uda się Panu napisać coś porządnego, gdyż jak widzę, nawet ortografja pozostawia u Pana dużo do życzenia. Pyta Pan, czy trudno pisać piękne wiersze. Na zapytanie odpowiem Panu słowami poety Leopolda S... „Pisanie wierszy to rzecz albo bardzo łatwa, albo wogóle niemożliwa." Trudno słowom tym nie przyznać racji, prawda?

Co słychać w polityce?

Rozwijający się z coraz większą szybkością film wydarzeń dziejowych, nie przerywa się ani na chwilę, trzymając w ustawicznem napięciu uwagę opinji. Ludzie, których wczoraj jeszcze widzieliśmy na scenie dziejowej schodzą z niej jedni w glorji nieśmiertelnej wielkości, drudzy w chwale uznania, za dobrze spełniony trud w budowie nowej rzeczywistości politycznej, inni wreszcie okryci śmiesznością i pogardą niedawnych współtowarzyszy, i zwolenników.

Napięcia, których wczoraj jeszcze nie przeczuwaliśmy nawet, urastają do rozmiarów konfliktów dziejowych stwarzając nowe, niespodziewane sytuacje. Niektóre z nich trwają krótko, jak trwa epizodyczna scena filmu, inne znów wypełniają sobą tygodnie i miesiące, stanowiąc główną osnowę wydarzeń danego okresu.

Do takich epizodycznych wydarzeń, które w ubiegłym tygodniu skupiały na sobie naszą uwagę, należy, *przesilenie rządowe we Francji*, zlikwidowane utworzeniem gabinetu ministra Lavala, stanowiące w swej istocie jedynie fragment wielkiego przełomu, ku któremu zmierza Francja, a któremu na imię kryzys parlamentaryzmu. Minister Laval uzyskał od izby szerokie pełnomocnictwa, których odmówiono dwum jego poprzednikom. Nagła zmiana nastroju izby, jest wyrazem lęku przed odwołaniem się do wyborców. Wszystkie ugrupowania umiarkowane zdają sobie sprawę, że nowe wybory, jak to wykazały wybory komunalne, przyniosłyby w tej chwili znaczny wzrost elementom skrajnym i naraziłyby kraj na niebezpieczne szczególnie w tym okresie wstrząsy polityczno-gospodarcze.

Minister Laval ma obecnie *ułatwione zadanie*. Uzyskał wolną rękę w przeprowadzeniu zamierzeń rządowych w kierunku zabezpieczenia waluty, podniesienia życia gospodarczego i zrównoważenia budżetu, trzech podstawowych elementów stałości stosunków politycznych. Większość uzyskana w ostatniem posiedzeniu parlamentu pozwoli mu spokojnie rządzić do jesieni i przeprowadzić wszystkie zarządzenia, potrzebne dla zabezpieczenia normalnych warunków politycznego i gospodarczego rozwoju wewnętrznego Francji.

* *
*

W Anglji w tym samym czasie dokonała się zmiana gabinetu, o czem już pisaliśmy. Dziś powracamy do tej kwestji jedynie, by wskazać na wielkie różnice parlamentaryzmu Francji i Anglji. We Francji utworzenie rządu, którego okres trwać może dłużej lub krócej, który jednak nigdy przeciętnie, nie sprawiał władzy ponad 6 miesięcy, zajęło pełne dwa tygodnie. W Anglji utworzono gabinet w trzech godzinach. Mac Donald, który stał na czele rządu przez ostatnie 6 lat, ustąpił w chwale powszechnego uznania za dobrze spełniony obowiązek w służbie państwa. Stanowisko jego objął popularny Stanley Baldwin, przywódca konserwatystów.

Nowy rząd wszedł na drogę utworzoną wypadkami poprzedniemi, prowadzącą, jeśli wszystkie oznaki nie mylą, do wyjaśnienia stosunków angielsko-niemieckich. W związku z tem szeroki odgłos w opinji niemieckiej szczególnie, wywołało wystąpienie księcia Walji, angielskiego następcy tronu, który wypowiedział pod adresem Niemiec słowa nacechowane przyjaźnią.

W polityce angielskiej, — *w jej metodach, a nie celach*, na co pragnęliśmy zwrócić uwagę, *nastąpił zasadniczy zwrot*. Pewnemi ustępstwami na rzecz żądań niemieckich w dziedzinie morskiej, za któremi pójdą ustępstwa także w innych dziedzinach, Anglja pragnie zneutralizować siłę wybuchową Niemiec współczesnych, wciągnąć ją w służbę wspólnych europejskich celów i skierować na tory realnej międzynarodowej współpracy. Ten cel przyświecał polityce angielskiej stale. Drogi do niego mogą się jednak, jak to już tylokrotnie bywało, okazać błędne. Zobaczymy.

—o—

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

od dnia 16. VI. do 22. VI. 1935 r.

Niedziela, dnia 23 czerwca 1935 r.

8.30 Audycja poranna 10.00 Transmisja Nabożeństwa z Łodzi 10.50 Transmisja z Amsterdamu 12.05 „Ognie sobotkowe" 12.20 Poranek muzyczny 14.00 Muzyka salonowa 15.00 „Szanuj cudzą własność..." 15.10 Orkiestra Mandolinistów Związku Drukarzy. W przerwie poranku o godz. 15.22 „Przegląd rynków produktów rolnych" 15.45 „W poszukiwaniu źródeł dochodu na wsi" 16.00 Koncert solistów 16.45 „Ewa Szelburg-Zarembina" 17.00 „Dla naszych letnisk i uzdrowisk" 18.00 Transmisja z obozu Przysposobienia Wojskowego Kobiet w Orłowie 18.15 Muzyka salonowa 18.30 „Cała Polska śpiewa" 18.45 „Berlinka i holownik" 19.20 „W stulecie urodzin Henryka Wieniawskiego" 19.50 „Na Broczysku" 20.00 Dziennik wieczorny 20.10 „Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski" 20.15 „W godzinę śmierci" 21.30 Audycja muzyczno-słowna 22.00 Wiadomości sportowe 22.20 „Marynarka gra" 23.05 Muzyka lekka 24.00 „Sobótki.

Poniedziałek, dnia 24 czerwca 1935 r.

8.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 „Dla naszych letnisk i uzdrowisk" 15.30 Koncert solistów 16.00 „W co się będziemy bawili? 16.15 Muzyka lekka 16.50 „Wędrówka Joanny" 17.00 Koncert (ostatni) z cyklu „Pięć wieków muzyki kameralnej" 17.20 utwory Fr. Schuberta 18.00 „Oko elektryczne" 18.15 „Cała Polska śpiewa" 18.30 Skrzynka ogólna 18.40 Chwilka społeczna 18.45 Najpiękniejsze melodje 19.30 Audycja żołnierska 19.50 „Co czytać" 20.00 „Skrzynka rolnicza" 20.10 „Święto Kupały" 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski" 21.00 Koncert muzyki polskiej 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Mała Orkiestra P. R.

Wtorek, dnia 25 czerwca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.13 Trio Rymowicza 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Fr. Schubert: Kwintet fortepianowy A-dur 13.30 Z rynku pracy 15.30 Mała Orkiestra P. R. 16.00 „Skrzynka P. K. O." 16.15 Koncert solistów 16.50 „Wędrówka Joanny" 17.00 „Dla naszych letnisk i uzdrowisk" 18.00 Odczyt z cyklu astronomicznego 18.10 „Minuta poezji" 18.15 „Cała polska śpiewa" 18.30 „Skrzynka techniczna" 18.45 Muzyka góralska 19.30 Recital fortepianowy 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Wiadomości rolnicze 20.10 Muzyka Irlandji 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski" 21.00 „Verbum Nobile" — Opera Stanisława Moniuszki w I-ym akcie 22.30 Wiadomości sportowe 22.40 „W letnią noc"... — Koncert.

Środa, dnia 26 czerwca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 „Dla naszych letnisk i uzdrowisk" — Kwintet salonowy Arkadi Flato. W przerwie — Chwilka dla kobiet 15.30 „Zwyczaje i obrzędy w pieśni białoruskiej" 16.00 „Czy warto robić zapasy na zimę" 16.15 „Muzyka współczesna dla niedowiarków" 16.50 „Wędrówka Joanny" — Ewy Szelburg-Zarembiny 17.00 Pieśni w wykonaniu Izy Rola 18.00 Wesoły skecz p. t. „Wiosna w mieście" — Br. Winawera 18.15 „Cała Polska śpiewa" 18.30 „Listy od dzieci" 18.45 Utwory w wykonaniu orkiestry fortepianów 19.30 „Z rytmem tańców narodowych" 19.50 „Świat się śmieje" 20.10 Muzyka salonowa 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 Koncert Chopinowski 21.30 Józef Piłsudski w dobie rewolucji — odczyt 21.40 Fr. Chopina: Sonata wiolonczellowa g-moll op. 65 22.15 Mała Orkiestra P. R.

Czwartek, dnia 27. czerwca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Koncert z udziałem solistów 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 „Miłe dźwięki..." 15.30 Muzyka salonowa 16.00 „O babci, Ewci, Dziadku i czereśni w sadku" 16.15 Recital fortepianowy Stanisława Szpinalskiego z (z Wilna) 16.50 „Wędrówka Joanny" — E. Szelburg-Zarembiny 17.00 „Dla naszych letnisk i uzdrowisk" 17.40 „Pijmy piwo" 18.00 „Sowieckie państwo pracy" 18.10 Wiersz Antoniego Słonimskiego 18.15 „Cała Polska śpiewa" 18.30 „Dokąd jechać w święto" 18.45 „Z zapomnianych piosenek" (płyty) 19.30 I-sza Audycja z cyklu „Fugi J. S. Bacha". (Wohltemperietes Klavier) 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 „Kącik dla młodzieży wiejskiej" 20.10 Koncert orkiestry 36 p. p. 20.45 Dziennik wieczorny 20,55 „Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski" 21.00 Koncert w wykonaniu Orkiestry Symf. P. R. 21.30 Teatr Wyobraźni nadaje słuchowisko 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Mała Orkiestra P. R. W przerwie o godz. 23.00 — Wiadomości meteor. dla komunikacji lotniczej.

Piątek, dnia 28 czerwca 1935 r.

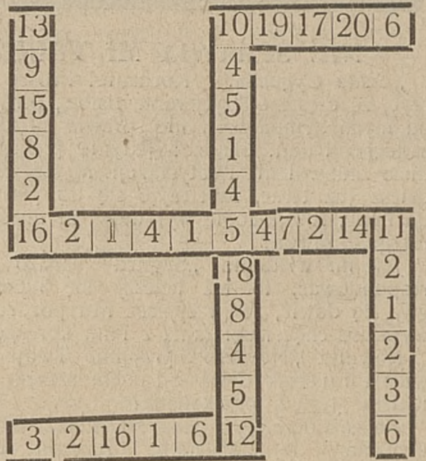
6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 „Koncert dla naszych letnisk i uzdrowisk" W przerwie o godz. 13.00 Chwilka dla kobiet 13.30 „Z rynku pracy" 15.30 Walce w wirtuozowskich transkrypcjach fortepianowych 16.00 Odczyt z cyklu (Hygjena w lecie") 16.15 Koncert Orkiestry Tedeusza Seredyńskiego ze Lwowa 16.35 Pogawędka dla chorych 16.50 „Wędrówka Joanny" E. Szelburg-Zarembiny 17,00 Koncert w wyk. Orkiestry P. R. 18.00 „Gdynia w porównaniach" 18 15 „Cała Polska śpiewa" 18.30 Skrzynka ogólna 18.40 Chwilka społeczna 18.45 Piosenki w wyk. Janusza Popławskiego 19.30 Recital śpiewaczy 19.50 Aktualny monolog 20.00 „Skrzynka rolnicza" 20.10 „Miłość Beethovena" 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski" 21.00 Koncert Symfoniczny 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Muzyka salonowa 23.05 Utwory charakterystyczne

Sobota, dnia 29 czerwca 1935 r.

8.30 Audycja poranna 10.00 Muzyka religijna 10.30 Nabożeństwo 12.03 „Podróżujmy" 12.20 Poranek muzyczny 13.00 Fragment słuchowiskowy 13.20 Muzyka 15.00 „Pogadanka rolnicza" 15.10 Piosenki szwajcarskich jodlerów 15.22 „Co lubi, a przed czem broni się pszczoła" 15.35 Muzyka 15.45 Teatr Wyobraźni nadaje słuchowisko dla dzieci 16.15 Skrzynka techniczna 16.30 Preludja Cl. Debussy'ego 16.50 „Wędrówka Joanny" — E. Szelburg-Zarembiny 17.00 Koncert „Dla naszych letnisk i uzdrowisk 18.00 Poradnik sportowy 18.10 „Minuta poezji" 18.15 „Cała Polska śpiewa" 18.30 Przegląd wydawnictw 18.45 Cl. Debussy: „Morze" 19.30 „Nasze pieśni" 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Wiadomości rolnicze 20.10 Pieśni bez słów 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski" 21.00 Audycja dla Polaków zagranicą 21.30 Święto morza w muzyce 22.00 Wiadomości sportowe 22.20 „Obrazki z nad morza". Mała Orkiestra.

CHWILA ZASTANOWIENIA

ARYTMOGRAF



Niektóre wyrazy pomocnicze:

6 13 20 11 8 16 6 — Niemieckie państwo katolickie.

18 2 19 6 10 — Mieszkańcy Europy.

20 9 3 6 15 — Niemiec.

1 5 4 7 2 12 — choroba.

TRÓJZNACZNIK

ul. „Velga" z Głowna

1. Szukasz go często w wodzie czarny jak półdjable
   Gotując go na obiad, zmienia kolor nagle.
2. Prawa ręka dla kasiarza
   Tym kasę pruje — „trzymajcie zbrodniarza!"
3. Każdy wie, że to choroba sroga
   Ludzkość w niej ma ogromnego wroga.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dnia 28 czerwca br.

Rozwiązanie zadań z nr. 23 „Moich Powieści": Rozsypanka literacka: Zielone Święta. Łamigłówka: 1. tarka, 2. katar, 3. karat, 4. krata, 5. ratka.

Trafne rozwiązania nadesłali: Helena Szajner, Lublin — Roman Wawrzyniak, Gniezno — Julja Podsadna, Gniezno — Weronika Zabłocka, Częstochowa — Edwin Zawilski, Zaleszczyki — Marjan Wiatrowski, Bydgoszcz — Irena Wiatrowska, Bydgoszcz — Łucja Pankowiakówna, Sopoćkinie — Czesława Michniewiczówna, Łódź — Ewa Kothówna, Myślenice — Henryk Silczyński, Warszawa — Czesław Kozłowski, Warszawa.

Nagrody, w drodze losowania przypadły pp.: Weronice Zabłockiej z Częstochowy i Marjanowi Wiatrowskiemu z Bydgoszczy.

Raj kobiet

Nosimy sukienki w groszki



Tegoroczna moda wiosenno-letnia trwa pod znakiem kropkowanych materjałów. Na zdjęciu widzimy bardzo skromny, lecz nadający sylwetce pani dużo wdzięku, komplet z ciemnobrązowego jedwabiu w jasne kropki. Żabocik dostosowany do koloru groszków.

ZAWALIDROGA MA GŁOS

No i co Państwo powiecie na ten upał? Żyć się nie chce, jak pragnę zdrowia. Wódka ciepła i na nieprzyjemność się człowiek może narazić, jak ja wczoraj. A było to tak: Wracaliśmy ze szwagrem z imienin od jednego Modesta, co na Dobrej ulicy mieszka. Pić nam się chciało strasznie z upału i po grzybkach w occie. Stanęliśmy koło budki z wodą sodową. Ja wypiłem szklankię, szwagier szklankię i poszliśmy. Za parę minut czuję, że grzybki znowu zaczynają mnie palić, więc mówię do szwagra:

— Teoś chodź, pójdziem jeszcze na wodę. A on na to, że chodzić nigdzie nie potrzeba, bo już wodę ma z sobą.

W pierwszej chwili chciałem go zesobaczyć, bo myślałem, że niemoralny żart uskutecznia. Ale patrzę, faktycznie Piekutoszczak taszczy na plecach balon wody, i w ręku rzeczywiście szklankie trzyma. No, jak jest woda to dlaczego nie wypić? Usiedliśmy na ławce na skwerku nad Wisłą i pijem. Wtenczas podszedł do nas jeden starozakonny, i chce wody, na to ma się rozumieć daliśmy mu, bo takie mamy wychowanie, że pragnącego trzeba napoić o ile grzecznie o to poprosi. Izraelita wypił wodę i chce płacić 5 groszy, ale szwagier się obraził i chciał go za to w szczękie uderzyć.

— U nas — mówi — za wodę się nie płaci, bo to jest towarzyska przysługa.

Na to ma się rozumieć starozakonny się ukłonił, odszedł i rozpowiedział wszystkiem żydom, co tam po mahonjowem powietrzu spacerowali, że my darmo wodą częstujemy. Patrzyc, a tu się ogonek pragnących koło nas zrobił.

Szwagier wciąż wodę nalewa, spocił się cały, ale grzeczność nie pozwala mu nikomu odmówić. Wytoczył już z pół balona, aż tu gliny na rowerach nadjechali i patrzą co się robi. Ogonek ze 200 osób stoi i zanieczyszczenie ulicznego ruchu uskutecznia.

Zeskoczyli posterunkowi z rowerów i pytają się, skąd posiadamy ten balon z wodą. Ja nie wiedziałem i szwagier też nie wiedział. Ale w tej samej minucie nadleciał właściciel budki z zimnemy napojamy i obskarża nas żeśmy mu ten balon gwizdli. Obraziliśmy się narazie strasznie, ale później sobie szwagier przypomniał, że rzeczywiście ten balon zabrał z budki przez pomyłkie zamiast kapelusza.

Upał do głowy mu uderzył i taką kompromitację nam zrobił.

Zabrali nas jak swoich do komisarjatu, spisali protokół i zdaje się, że sprawe sądowe będziemy z tego mieli.

A przez co to wszystko? Przez upał!

Kochane czytelniki, jeżeli nie chcecie się narazić na przykrości, chodźcie o ile możności bez kapeluszy!

Najpierw mięso, jarzyna czy zupa?

Co jeść i w jakim porządku?

Nasze menu, będące wyrazem upodobań smakowych i wiekowych tradycyj, jest nieraz krytykowane i zaczepiane przez rzekomych reformatorów, które pragną je zmienić dla względów zdrowotnych. Stawiają przytem zarzuty, które mają pozory racji, lecz są właściwie tylko spekulacjami, nie opartemi na realnych podstawach. Rozpatrzmy przeto, czy nasze menu posiada swe uzasadnienie fizjologiczne, czy tylko jest niesłusznie zachowywanym przesądem?

Na szczęście możemy zgóry powiedzieć, że instynkt nas w tym wypadku nie zawodzi, raczej logika często błądzi, jeśli nie jest oparta na rzetelnej wiedzy. Bo przecież menu nie jest dziełem przypadku! To sama natura dyktuje nam co jeść i w jakim porządku.

Weźmy jako przykład obiad średnio zamożnej rodziny. Najpierw pikantna przystawka, która mile zadrażnia nerwy smakowe, nie obciążając zbytnio żołądka. Potem zupa, która u wszystkich prawie ludów rozpoczyna właściwy obiad. Budzi ona najwięcej sporów i zastrzeżeń. Powiadają, pocóż wprowadzać tyle płynu, który ma małą wartość odżywczą, a rozcieńcza soki trawienne? Trzeba zerwać ze złem przyzwyczajeniem i zupę przełożyć na koniec obiadu.

Nowoczesna fizjologja nie potwierdza tych wątpliwości. Gruczoły żołądka produkują soki trawienne pod wpływem bodźców chemicznych, których dostarcza zupa w dużej ilości, gdyż zawiera rozpuszczone substancje pożywne. Stanowi więc ważny czynnik pobudzający wydzielanie. Natomiast zarzut, jakoby zupa rozcieńczała soki trawienne jest o tyle niesłuszny, że zupa prędko przechodzi jelita i w chwili, kiedy znajduje się w żołądku, jeszcze soki nie wydzieliły się.

Gdybyśmy najpierw spożywali stale potrawy, to przez długi czas pożywienie pozostawałoby niestrawione i cały proces przyswajania przedłużałby się. Po zupie następują potrawy mięsne i pod wpływem wydzielonych już soków szybko ulegają trawieniu. Czy zostają strawione w tym porządku, w jakim zostały wprowadzone, czy też wszystko ulega zmieszaniu? Odpowiedź na to pytanie dają doświadczenia robione na szczurach, którym kolejno podawano bułkę, zabarwioną na czarno, na czerwono i bułkę o naturalnym kolorze. Przekonano się, że poszczególne porcje układały się w warstwy w tym porządku, w jakim je podawano. Pierwsza porcja stanowi warstwę zewnętrzną, która najpierw podlega trawieniu i przechodzi potem do jelita, a w środku leżą dalsze porcje, które wkrótce spotyka ten sam los.

Sposoby zdobycia mężczyzny

Słynna gwiazda filmowa Kathleen Burke podaje dziesięć sposobów zdobycia mężczyzny. Oto jej rady:

1. Kobieta powinna być zawsze kobietą i nigdy o tem nie zapominać.
2. Mimo swej kobiecości, powinna umieć brać udział w męskich sportach.
3. Musi umieć uważnie słuchać nawet najnudniejszych rzeczy.
4. Musi starać się być powabną dla innych mężczyzn, a nie tylko dla Niego, jednak nie powinna być kokietką i zbytnio flirtować.
5. Musi umieć zdobyć szacunek mężczyzny. By szanował jej pracę, dążenia, by potrafiła mu nawet imponować.
6. Musi być odważną, gdy sprawy ułożą się niepomyślnie i z uśmiechem przyjąć uderzenia losu.
7. Musi umieć prowadzić inteligentną rozmowę.
8. Nie powinna być zarozumiała.
9. Powinna ubierać się modnie, aby jej towarzysz czuł się dobrze w jej towarzystwie, ale winna unikać ekstrawagancji i przesady.
10. Musi być szczera.

Niema kobiet idealnych, ale te które będą dążyć do ideału, napewno zyskają wiele.

Ze świata

Małżeństwo zawarte wśród gorszących okoliczności

Do czego dochodzą dziwactwa sekciarskiej Ameryki, daje świadectwo zawarte w tych dniach małżeństwo w Chicago, w pawilonie prehistorycznym wystawy.

Jane May i Charles Müller zamierzając się pobrać, rozesłali najbliższym przyjaciołom zaproszenie, aby się stawili na „uroczystość zawarcia małżeństwa" i byli przy niej w strojach adamowych, a to, jak głosiło zaproszenie, dlatego, aby przypominało to małżeństwo pierwotne z jak najbardziej zamierzchłych czasów.

Jedynie udzielający tego potwornie wymyślnego „ślubu", ze względu na swoją godność (co za skrupuły!) miał być przyodziany w skórę kozią na wzór św. Jana w pustyni. I komedja rzeczywiście się odbyła. Przed zaimprowizowanym ołtarzem zdjąwszy swe okrycia, stanął w całej krasie orszak weselny z panną młodą o bezwstydnym uśmiechu, jako jej jedynej ozdobie i okryciu oraz z panem młodym, nieco mimo wszystko zażenowanym na czele.

Gości, którzy doznali „zaszczytu" uczestniczenia w uroczystości, było 7 osób. Dziwactwa i głupota ludzka nie mają granic.

Noc świętojańska i wianki

W najkrótszą noc letnią prastarzy Lechici obchodzili uroczyście przez kilka dni święto ognia i słońca. Wówczas to oczyszczano starannie ogień domowy, gasząc go i roznieciając tarciem dwóch kawałków drzewa nowy, czysty ogień i oczyszczano siebie i bydło, skacząc przez ten ogień. Resztę nocy poświęcano hucznym biesiadom, tańcom i śpiewom.

Takie jest pochodzenie sobótek, które do dziś dnia jeszcze lud polski obchodzi nader uroczyście, w najkrótszą noc roku, a zarazem w pierwszą noc lata — w wigilję św. Jana. Nazwa zaś sobótek pochodzi najprawdopodobniej od soboty, gdyż dawny lud polski urządzał wszystkie swoje obchody i zabawy w wigilje dni świątecznych. Jednakże nazwa ta utrzymuje się nie w całej Polsce. W niektórych okolicach znana jest pod nazwą Kupalnocki — święta ongiś poświęconego bóstwu Kupale.

Noc świętojańska rozpoczyna się zwykle o zmierzchu, na placach, ugorach, położonych za wsią, na łąkach podleśnych, a zasadniczą i charakterystyczną jej podstawą jest palenie olbrzymich ognisk, w blasku których odbywają się śpiewy, skoki przez ogień i tańce, najczęściej z muzyką.

W okolicach nad rzekami położonych, ze świętem sobótek łączy się również święto puszczania wianków na wodę, jako symbolu dziewictwa i czystości. O zmierzchu nad brzegiem rzeki gromadzą się dziewczęta i każda przynosi swój wieniec uwity z ziół i kwiecia. W łódkach oczekują młodzieńcy i z chwilą, gdy dziewczęta rzucą wianki na wodę, młodzieńcy uganiają się za nimi i chwytają je. Ten, który schwyci wianek dziewczyny, według wierzeń, przeznaczony jest na jej męża.

Ze wsi zwyczaj wianków, w formie zmienionej, przybierającej charakter wielkich zabaw ludowych — przeniósł się do miast. Dzisiejsze „wianki" to wspaniałe uroczystości, połączone z korowodami oświetlonych łodzi, z ogniami sztucznemi itp. Od dwuch lat wianki łączą się ze „Świętem Morza", które obchodzi cały naród.

Wśród warjatów

Upiór zamku Sokolskich

(Romans)

41)

„Pani ma słuszność, Elzo!" wydobył ze siebie z trudem jakimś dziwnie głuchym głosem, „poznaję teraz zupełnie jasno, że całkiem bezprawnie, — gwałtem chciałem odegrać rolę losu w tym wypadku, — a do tego nie byłem wcale uprawnionym. Ale jak prawdziwe były moje obawy może pani już z tego rozpoznać, że ta nieszczęsna rzeczywiście chciała się zbliżyć, — próbowała jeszcze raz spotkać się z Kazimierzem. To miało miejsce tuż przed kościołem Notre-dame!"

Skreślił Elżutce całą scenę, jaka miała miejsce podczas powrotu z kościoła.

Elza przybladła, niecierpliwie poczęła trząść głową.

„Co się stało potem z tem dziewczęciem?" spytała.

„Tego nie wiem!" musiał się mimowoli przyznać Zygmunt, „potem pogoniła dalej, — zgubiła się w tłumie ulicznym Paryża."

„Proszę się zastanowić, panie hrabio, może ta dziewczyna czując się tak głęboko nieszczęśliwą, — odebrała sobie życie!"

„Życie odebrała sobie! Wielki Boże, ja proszę panią, ja błagam na wszystko, cofnij pani to straszne słowo! Nie, nie, — tego nie mogła, — tego nie zrobiła ta biedna!"

„Dlaczego by nie miała tego uczynić?" odezwała się Elza Rodeń z goryczą w tonie. „Co innego pozostaje biednemu dziewczęciu, które całą swoją nadzieję, całe szczęście pokłada na przysiędze mężczyzny? Ona by nie była pierwszą, panie hrabio, w tym razie, ani też i nie ostatnią, — już wiele innych wtrąciła złamana przysięga, niedochowanie wiary w gwałtowną śmierć, — w zagubę!"

Zygmunt począł kroczyć gorączkowo po pokoju, — nieregularne kroki jego zdradzały wewnętrzny niepokój, — pot wystąpił mu na czoło.

„Ależ to zupełnie niemożliwe!" zawołał nagle, „gdyby się tak rzecz miała jak to pani przedstawia, toby nie brała była pieniędzy ode mnie, które jej posłałem. To samo, że przyjęła pieniądze, to jest najlepszym znakiem, że nie miała zamiaru odbierać sobie życia."

„To prawda, to mógłby być rzeczywiście pomyślny znak, panie hrabio!" odezwała się Elza, „chcę wierzyć w to i ufać, że się pan nie myli. — Ale co to, już kilka razy słyszałam u drzwi słabe pukanie. Kto tam?"

Zygmunt postąpił do drzwi i otworzył je. Walenty stał u progu.

„Proszę przebaczyć, panie hrabio", odezwał się, „że tak późno jeszcze przeszkadzam łaskawemu panu. Ale dotychczas nie miałem sposobności niespostrzeżenie rozmówić się z łaskawym panem. Mam panu hrabiemu jeszcze te banknoty oddać."

Zygmunt odskoczył, jakby Walenty nie parę niewinnych stówek tylko jakiegoś jadowitego węża trzymał w ręce. Elżutka również wydobyła ze siebie mimowoli słaby okrzyk spiesząc do służącego.

„Te banknoty", zawołała z trudem, „kto ci je dał nieszczęsny, mów!"

„Młoda panienka!" odpowiedział Walenty. „Wedle rozkazu pana hrabiego miałem oddać je w kopercie mademoiselle Angeli, ale jak tylko otworzyła kopertę i znalazła wewnątrz pieniądze wówczas —"

Stary Walenty zaciął się, — nie wiedział, co ma powiedzieć swemu panu, aby go nie obrazić, jak ta biedna dziewczyna się zachowała.

„Mów dalej, Walenty! Powiedz mi wszystko! Co powiedziała nieszczęśliwa, — co uczyniła na widok pieniędzy?"

„No, mój miły Boże, — co ona tylko powiedziała, — hm, — co uczyniła! W pierwszej chwili myślałem, że rozum postradała, — wpatrzyła się nieruchomo w banknoty, — które przecież każdego innego by ucieszyły, — jakimś dziwnym, nieswojskim wzrokiem. A potem, — potem zaczęła coś mówić nie do rzeczy, wreszcie wręczyła mi pieniądze, — wsunęła w rękę i powiedziała żebym sobie sam te pieniądze schował jako napitek!"

Zygmunt spojrzał na Elzę proszącym wzrokiem, — jakby chciał ją przebłagać, prosić o względność, — potem zwrócił się do Walentego:

„A co uczyniła potem ta panna, jak ci pieniądze oddała?"

„Potem", odpowiedział stary służący, „wypadła tuż koło mnie za drzwi, jakby ją kto ścigał, nie mogłem jej nawet nadążyć moimi staremi nogami. Zaraz pomyślałem sobie: Mój miły Boże, tej młodej panienki nie ujrzysz więcej, wygląda zupełnie na to, jakby jej nic na życiu nie zależało więcej."

Hrabia Zygmunt wyjęknął głośno, — obu rękami zakrył sobie oblicze, — kilka minut stał tak nieruchomy, — tylko drżące palce, którymi zaciskał oczy, zdradzały, co za burza rozszalała się w jego piersi.

Elżutka kiwnęła na starego sługę, aby się oddalił, dopiero jak się sama znalazła z hrabią, podeszła ku niemu, położyła mu rękę na ramieniu i poczęła szeptać mu do ucha cichym, łagodnym głosem:

„Proszę pana, Zygmuncie, nie bierz pan sobie tego tak bardzo do serca, dotychczas jeszcze nie udowodnionem, że dziewczyna ta w rzeczywistości targnęła się na swe życie, — zresztą gdyby nawet tak było, pan nie zawiniłeś przecie tego nierozsądnego uczynku."

„Ja nie mogę znieść tej myśli", zawołał hrabia, opuszczając ręce i spoglądając na Elzę dziwnie osłupiałym wzrokiem, „że ja to biedne, nieszczęsne stworzenie obraziłem jeszcze do tego wszystkiego. — Ach, teraz widzę, — postąpiłem wcale nieładnie, — to nie było bezinteresownie z mojej strony, — ja myślałem tylko o sobie, właściwie o Loli! — O Boże Niebieski, bądź moim świadkiem, ja nie mogłem szczęścia mojej córki kłaść na wagę przypadku. — Gdyby to dziewczę rzeczywiście zdołało się rozmówić z Kazimierzem, — ach, wówczas nieszczęście, którego nie można nawet przewidzieć naprzód, tak łatwo mogłoby z tego wyniknąć. — Ale ja to chcę naprawić, com zawinił. Tak, to zrobię, — każę szukać jej wszędzie. — cały Paryż każę przetrząsnąć — jak tylko ją znajdę wynagrodzę jej to chętnie, co jej złego uczyniłem".

„Pieniędzmi?" spytała Elżutka. „Przecież widział pan hrabia, że dziewczę to za dumne, aby się dać zbyć pieniędzmi".

„Nie, nie, — drugi raz nie byłbym tak głupi obrażać ją ponownie jakimś datkiem", odparł Zygmunt, „ale ona sama mi się przyznała, że jest sierotą, bez ojczyzny, bez domu. Czyż nie mógłbym jej zaofiarować czegoś, co więcej warte jak miljon franków? Nie mógłbym jej zaproponować, aby została u mnie?"

„Tak, to znakomita myśl!" zawołała Elżutka, obrzucając hrabiego świetlanem spojrzeniem. „Dobrze, proszę kazać wyszukać to dziewczę, Zygmuncie, — jeżeli poszczęści się panu hrabiemu, że ją pan znajdzie, wówczas proszę ją przyjąć do swego domu i proszę ją otoczyć ciepłem, życzliwością. Tego brakuje zapewne temu nieszczęśliwemu stworzeniu, — ta biedna niema zapewne ani rodziców, ani żadnego współczującego kochającego serca, — jakże jej to dobrze zrobi, trochę sympatji, ciepły kącik w domu, — życzliwość i zainteresowanie się jej losem! — Ach, proszę pozwolić, że ucałuję pańską rękę, Zygmuncie, — zbłądził pan wprawdzie, ale poczciwe, zacne serce wynalazło zaraz drogę, na której można tem błąd naprawić. — A teraz dobranoc, mój przyjacielu, — proszę spać spokojnie, — Bóg w łasce swojej sprowadzi panu to dziewczę z powrotem, — potem, — potem obejmie pan rolę wiernego przewodnika, drugiego ojca względem tej biednej, nieszczęśliwej sieroty! A ja", dodała Elżutka z przekonaniem „ja będę jej dobrą przyjaciółką."

„Wtedy, — proszę nie zapomnieć o moich słowach, — wówczas dopiero podziękuje panu to dziewczę z całego serca, — przebaczy najzupełniej wszystko, coś jej pan przykrego dzisiaj wyrządził".

Elżutka podała hrabiemu swoją rękę, — schwycił ją z wdzięcznością i złożył na niej długi, — długi, serdeczny pocałunek.

Elżutka już dawno wyszła z pokoju, — Zygmunt stał jeszcze ciągle nieruchomo u pieca, wsparłszy głowę na gzymsie tegoż i wpatrując się bezustanku w przelatujące iskry.

„To był mój drugi błąd!" wyszeptał z westchnieniem, „teraz muszę się strzec, aby trzeci nie nastąpił. — Ach, że też i najlepiej chcący, pełen dobrych zamiarów człowiek może tak w ciemnej chwili zbłądzić, — Boże Wszechmocny, Ty wiesz przecie i czytasz w mojem sercu, — ja zawsze chciałem jak najlepiej, a przecież, — zacne serce niewiasty jednej już złamane przezemnie! O, ustrzeż mnie, Panie na wysokości, aby drugie życie nie zaciężyło na mem sumieniu".

— — — — — — —

Podczas rozmowy Zygmunta z Elzą toczył się powóz wiozący młodą par

w kierunku willi, należącej do hrabiego, położonej na Champs Elyseés.

Pokoje, które jeszcze za życia hrabiego Teodora elegancko urządzone były, odnowiono teraz całkowicie. Cały batalion robotników, tapicerów, dekoratorów, rzemieślników różnego gatunku, ba nawet mistrzów w swojej sztuce pracowało po całych dniach w ostatnich dwóch tygodniach nad odnowieniem tego pałacyku. To też piękniejszego gniazdka nad to nie można sobie było wyobrazić.

Niewielki, ale architektonicznie gustownie zbudowany zameczek otoczony zielenią drzew, spokojny w pośród burzliwego wiru i życia paryskiego, — w sercu stolicy!

Cały front, schody, jakoteż jedwabiem wykładane poręcze tychże były ustrojone w kwiaty, — w wielkich kandelabrach paliły się światła gazowe, wszystko było przygotowane na przyjęcie młodej pary.

Hrabia Kazimierz prowadził właśnie po kobiercem wyłożonych schodach swoją młodą małżonkę pod rękę do góry.

Lokaje i służba zgromadziła się w przedsieni, witając z szacunkiem młode państwo, — ale Kazimierz rozkazał im krótko, udać się natychmiast na spoczynek.

W sali jadalnej stał bogato zastawiony stół. Przekąski zimne znajdowały się na nim w doborze, — we wielkich srebrnych naczyniach stał zamrożony szampan, — cała sala była rzęsiście oświetloną.

Ale ani Kazimierz, ani Lola nie spoglądnęli nawet na nagotowane przysmaki, — w milczeniu przeszli przez salę jadalną, — minęli cały szereg bogato i gustownie urządzonych pokoi, — wreszcie dostali się do saloniku, który miał być przeznaczony specjalnie dla nich, o charakterze familijnym.

Niebieskim atłasem wykładane meble, małe i zgrabne, a przecież wygodne stały po wszystkich kątach, — piękne obrazy dekorowały ściany, — u okien spadały jedwabne firanki ślicznie udrapowane, — kroków nie było słychać, noga wpadała aż po kostki w miękki kobierzec.

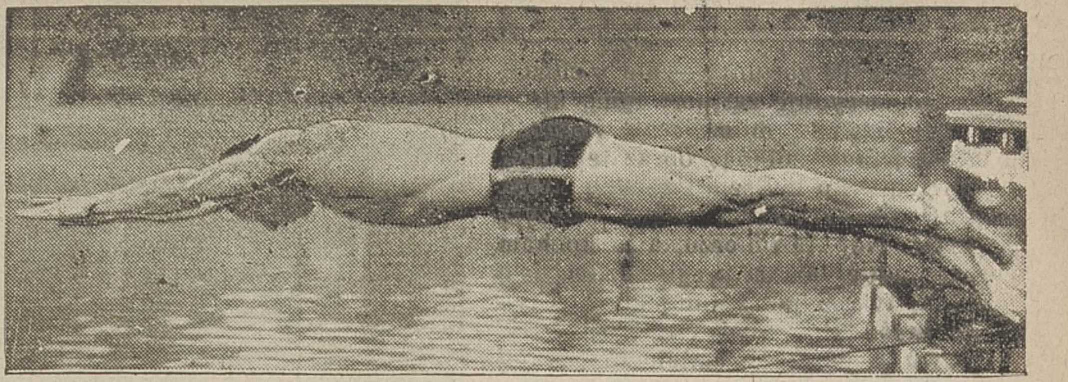
Po lewej i po prawej ręce były wysokie drzwi ze sztychami w nasadzie, — grające aniołki ślicznie mistrzowską ręką wyrzeźbione siedziały po obu stronach podwoi.

Na małym marmurowym stoliku paliło się w srebrnym lichtarzu pięć świec. Rzucały one przyjemne światło na najbliższe otoczenie, pozostawiając resztę saloniku w miłym półcieniu.

W środku pokoju stanął Kazimierz. Miał na sobie jeszcze ten sam frak, w którym przystąpił do ołtarza. Lola również miała na sobie jeszcze toaletę ślubną, — mirtowy wieniec wił się we włosach, — z głowy spadał długi biały welon po ładnie odznaczającej się figurze.

Kazimierz skrzyżował ręce, — kilka minut potrwał tak w milczeniu, — poczem obrócił się i podszedł do pieca.

Znowu kilka chwil zapatrzył się w pryskający ogień, — pomału wyciągnął ręce, — jakby chciał ogrzać je u ogniska.



W Berlinie odbyły się zawody pływackie, w czasie których startował 20-letni Amerykanin Piotr Fick, znany jako najszybszy pływak.

„A zatem jesteśmy w domu", odezwała się Lola lekko wibrującym głosem, „ach, jak tu pięknie, swobodnie, miło. — tu będziemy zażywać szczęścia bez końca".

„Myślisz?" — zabrzmiało z ust Kazimierza.

Pozostał w pierwotnej postawie, — nawet nie obrócił się, wypowiadając to krótkie pytanie.

„Naturalnie, że tak myślę, tego się spodziewam, odczuwam to", zawołała piękna, ciemnowłosa kobieta, „popatrz, tylko zielone drzewa wglądają do okien, — cisza przyjemna panuje tutaj nie wpuszczając ani jednego żywszego turkotu ulic paryskich. — Doprawdy, przed paru tygodniami jeszcze byłabym w stanie przysiąc, że nie wytrzymam tutaj w tym tak spokojnym domu. Ale dzisiaj — ach, jak szczęśliwą czuję się dzisiaj w tem zacisznem ustroniu, — jestem przecież razem z tobą, — przy tobie!"

Umilkła, — oczekiwała widocznie odpowiedzi, — ale Kazimierz pochylił się tylko głębiej nad ogniem, — różowe światło padało na jego pochylone oblicze, — zdawało się pałać gorączką.

„A ja teraz zostanę na zawsze przy twym boku!" ciągnęła dalej Lola, zbliżając się pomału do ukochanego małżonka, — „teraz dopiero nabierze moje życie znaczenia i kolorytu, — ani na godzinę, ani na minutę nie opuszczę cię, — będę ciągle patrzyła w twe słodkie oblicze, — będę trzymała twoje ręce! — Ach, Kazimierzu, Kazimierzu, gdybyś ty wiedział, jak ja tęskniłam za tą chwilą! — Prawda, — właściwie nie powinnam ci mówić wcale tego, — że cię kocham tak bezmiernie, — tak silnie, — że cię ubóstwiam, — żem tak szczęśliwą. Ale nie mogę ukryć tej tajemnicy, która przepełnia całe moje serce, — ja muszę, — muszę ci powiedzieć, Kazimierzu, żeś ty moim skarbem, mojem wszystkiem, — po raz setny może muszę ci powtórzyć, że nie mogę żyć bez ciebie!"

„Wszakżeż należę już do ciebie, — stałem się twoim," odpowiedział Kazimierz z ironią. „Stoisz już u tak upragnionego celu, więc można zrozumieć twoją szczęśliwość bez granic".

„Ale ty nie pojmujesz tego szczęścia, nie dzielisz go ze mną, — nie współczujesz?"

„Nie!"

„Dlaczego nie, mój Kazimierzu?" zaszeptała Lola, starając się go objąć miękkiemi ramionami, przyciągnąć jego głowę do swojej piersi, „dlaczego nie chcesz być szczęśliwym? Ach, ja pojmuję, — to ta dziewczyna, do której myśl twa powraca. Nawet teraz myślisz o niej, — teraz, w tej tak pełnej znaczenia, uroczystej godzinie, w której nawet najprostsza kobieta z ludu posiada swego męża całkowicie, kąpie się w szczęściu! — Widzisz, mój drogi Kazimierzu, tak szczęśliwą mógłbyś mnie zrobić, gdybyś zechciał wydrzeć sobie obraz owej dziewczyny już raz z duszy".

„On już wydarty z mego serca", wyjęknął Kazimierz głucho, „nie widziałaś, jak była zrozpaczoną, — nie spostrzegłaś, co za straszne postanowienie malowało się w jej twarzy? — Tak, tak, podczas gdy my tu otoczeni zbytkiem i przepychem siedzimy w ciepłym, wygodnym pokoju, ona tam błądzi bez celu po ulicach, jak biedne, spłoszone opuszczone ptaszę, wyrzucone ze swego gniazdka. Lata tędy i owędy nie mogąc znaleźć domu! — Ha, nie słyszysz jej głosu, — zdaje mi się ciągle, że woła na mnie, — słyszysz, — woła z rozpaczą moje nazwisko!"

Rzeczywiście, w chwili, kiedy Kazimierz wymawiał te słowa, w tej samej chwili stała Anielcia na filarze mostu w górze i z rozpaczliwym krzykiem, wołając przeraźliwie imię „Kazimierz!" rzuciła się w głębię Sekwany.

Są przeczucia, które nie mylą, jest pomiędzy kochającemi się duszami jakaś tajemna struna, — nić, która porusza delikatne nerwy jednej istoty w chwili gdy ginie druga. — Ta dziwna styczność pomiędzy ludźmi, którzy od siebie oddaleni, — którzy się nie mogą widzieć, ani słyszeć, jest jedna z tych zagadek, których zgłębić nie jest w stanie i najbystrzejszy umysł filozofa.

Kazimierz wstrząsnął się nagle, jakby jakaś zimna ręka trupa dotknęła się jego skroni, — z pośpiechem odwrócił się, — osłupiałym wzrokiem, oglądnął się po całym pokoju, — w końcu zakrył twarz i oczy ręką, drżąc na całem ciele, jakby nim zatrząsł atak febry.

„Tobie zimno, Kazimierzu," zawołała Lola, „ach, chodź do mnie, — połóż głowę na mej piersi, — pozwól się objąć memi rękami, — ja ci chcę użyczyć mego ciepła, oddać ci je. — Mój drogi Kazimierzu, ja nie gniewam się za to na

ciebie, żeś pokochał tę dziewczynę, — podobne uczucie trafia się często w życiu młodych mężczyzn, — każdy z was ma swoje słabe godziny, — ale w chwili, kiedy się decyduje zaślubić inną, kiedy jej przysięgnie miłość i wierność u ołtarza, musi zniknąć obraz tej innej z pamięci, — to był sen, mrzonka, która przeszła bezpowrotnie! Teraz należysz do mnie, mój Kazimierzu, a ja kocham cię za silnie, abym mogła dzielić się miłością twą z jakąś inną choćby tylko w myśli."

Znowu objęła go ramionami, — jej pełne falujące piersi spoczywały na jego sercu, — czuł jej gorący oddech na twarzy, — była tak piękną, tak ponętną w tej chwili ta urocza kłamczyni, taki ogień wychodził z jej ciała, że każdy inny mężczyzna oczarowany tylu wdziękami rzuciłby się jej do nóg, czułby się szczęśliwym, zapomniałby na wszystko inne, a oddałby się jej, — z ciałem i duszą.

Ale Kazimierz uwolnił się gwałtownym ruchem od splotów Loli.

„Proszę cię", odezwał się energicznym, zimnym, głosem, „zaniechaj tego, — jesteśmy obecnie sami, — tutaj możemy się zachowywać odpowiednio do programu naszego przyszłego pożycia".

Loli twarz zaczerwieniła się w pierwszej chwili jak karmazyn, zaraz jednak szkarłat ustąpił miejsca trupiej bladości. Zbladła jak ta atłasowa suknia, którą miała na sobie.

„Ty mnie odpychasz?" zawołała dziwnie ostrym tonem, „ty pogardzasz moją miłością?"

„Nie chcę cię obrażać!" odparł Kazimierz, „czynię tylko to, com ci skreślił paru słowy, zanim przystąpiłem z tobą do ołtarza. Nie zwolniłaś mnie ze słowa, — przeto musiałem dotrzymać przyrzeczenia i poślubić cię, — przysięgi, jaką złożyłem w ręce umierającego mego ojca dotrzymałem, — będziemy w przyszłości żyli koło siebie, — ale nie ze sobą! Tam, Lolu, tam na lewo są twoje drzwi, tam jest twoja sypialnia! A tutaj", Kazimierz wskazał na prawo, — tutaj są moje drzwi, — tu ja będę spał, ta sala będzie nas przedzielała, — to granica między nami, której nigdy nie przekroczę.

„Wierzaj, Lolu, że mi rzeczywiście przykro, że muszę ci to wszystko powiedzieć, — sam to czuję, że zadaję ci tem samem bezmiłosierne bolesne razy, ale ja nie mogę inaczej, — ja nie należę sam do siebie, — należę tylko do tego dziewczęcia, które kochałem, jak byłem wolnym, ba, — które i teraz jeszcze kocham pomimo tego że wlokę łańcuch na rękach i nogach, który mi wtłoczony został wbrew mojej woli; — przeciw tym więzom broniłem się całą siłą, jak to prawemu człowiekowi przystoi. Tyś miała prawo rozstrzygnąć, mogłaś mnie zwolnić z nich lub nie! Nie chciałaś jednak zdjąć mi je z rąk, — własną twą wolę przeparłaś! — musiałem się na to zgodzić i jak widzisz, zgodziłem się, — wypełniłem twą wolę, — ale czegoś więcej nie masz prawa odemnie żądać!"

„Kazimierzu, Kazimierzu, — nie mów tak, — ach, to za straszne, aby mogło być prawdziwem!"



Ostatnio Amerykę nawiedziła straszna powódź, która wyrządziła poważne szkody. Obecnie nadchodzą z miejsca powodzi pierwsze zdjęcia. Na powyższem widzimy zalane zabudowanie gospodarskie, którego mieszkańcy schronili się na dachy.

„To czysta prawda wyrzeczona nie lekkomyślnie, nie na wiatr", odpowiedział blady mężczyzna, kierując swój wzrok z pewnym odcieniem politowania na zgrabną figurkę Loli.

Nieco ciszej i łagodniej dodał:

„Widzisz nieszczęsna dziewczyno, przestrzegałem cię przed małżeństwem bez miłości, — wyjaśniłem ci, że pożycie takie to piekło już tu na ziemi. Ale ty, — tyś mi nie wierzyła! — Jesteś piękną, uroczą, godną kochania, — każdego innego uszczęśliwiłabyś, — tylko mnie, — — mnie zrobiłaś swoim wyborem tak głęboko nieszczęśliwym. — Nie spodziewaj się odemnie, że zmienię kiedyś moje uczucie. — Tego, com ci dzisiaj powiedział, nie będę ci potrzebował powtarzać, raz wypowiedziane wryje się w twoją duszę niby jad, — niby niebezpieczna choroba! — Dzisiaj musiałem ci to jeszcze raz wyjaśnić, — w przyszłości będę milczał! Ale nigdy, — to przysięgam ci, — nigdy nie zmienię zapatrywania! Ach, Lolu, żebyś ty wiedziała, jak ja cierpię, — cierpię bez miary, — czuję, że to nad moje siły, że ta boleść zwalczy mnie, powali i zagubi".

Kazimierz zamilkł, — głowa opadła mu bezsilnie na pierś, — stał przed nią blady, złamany boleścią, — ciemne pukle włosów spadały mu na czoło, — oczy pełne boleści skierował w dół, — lecz o dziwo, — pomimo tego wszystkiego wydał jej się jeszcze piękniejszym, droższym, pożądańszym jak pierwej.

Całe ciało jej zadrżało, — najchętniej zaryczałaby wściekłością i zawodem. Jednak, — wiedziała dobrze, że musi się pokonać, że tylko delikatnie, uprzejmością i słodyczą potrafi go dla siebie uzyskać, jeżeli wogóle możliwem było kiedykolwiek wyrwać te smutne myśli z głowy, wyplenić mu te obce uczucia z piersi, a zaszczepić w zamian radość, pragnienie, miłość.

Ruchem rozpaczy podniosła obie ręce do twarzy, ciche łkanie dochodziło do uszu Kazimierza, — ze smutkiem począł trząść głową.

„Co za nędza!" wyjęknął, „nie tylko ja sam nieszczęśliwy, — o nie, twojem dziecinnem niedorzecznem życzeniem unieszczęśliwiłaś trzy istoty, — siebie samą, mnie i tę inną! I nie ma nadziei na przyszłość jakiejkolwiek zmiany, — polepszenia, bo więzy te, któreś nam sama włożyła na ręce, nie dadzą się porwać! To nie wieniec z róż, moja Lolu, — to żelazny łańcuch, który nas przyciska prawie do ziemi, — musimy ołoje spróbować znieść go o ile możności, jak się tylko da. A teraz", — zwolna pokroczył do małego stolika, na którym stał lichtarz; wziął go do ręki i podniósł w górę tak, że niespokojne płomienie świec oświeciły jego trupiobladą twarz, — „a teraz, — dobranoc, — to będzie smutna noc poślubna, — tak smutną, jak ta noc, będzie i reszta dni które mamy wspólnie przeżyć ze sobą, — jednostajnie mijać będą jeden za drugim, aż do końca tej pielgrzymki ziemskiej, — a wówczas, — wówczas, dopiero rozpoznamy, żeśmy zmarnowali życie, że próżno upłynęło nam one, — zapóźno, — dobranoc, Lolu dobranoc!"

Postąpił kilka kroków ku drzwiom, prowadzącym do jego sypialni, — ale w tej chwili zdobyła się Lola na odwagę, podniosła się i z trudem, słaniając się podeszła ku niemu, — ale zanim doszła tuż do niego, straciła widocznie siły, — upadła, — otoczona całym czarem swej ponętnej piękności leżała tuż u nóg jego, — prosząc, błagając, zaklinając.

„Kazimierzu, — Kazimierzu, mój najdroższy małżonku!" zawołała wibrującym od wzruszenia głosem. Już sam ten ton musiał rozbroić zimnego, cóż dopiero te ognie namiętności palające oczy. „Kazimierzu, — ach, nie odpychaj mnie od siebie, jam przecież twoją małżonką, — widzisz, leżę u nóg twoich i żebrzę o miłość, — czyż może się więcej uniżyć dziewczyna przed swoim kochankiem, — powiedz, co mogę więcej po nad to upokorzenie?"

„Proszę cię, powstań, Lolu!" zawołał Kazimierz zawstydzony, „nie, nie, ty nie powinnaś klęczeć u mych nóg, — nie, — tego nie chcę. Ale chociażbym cię widział umierającą u



W Kilonji urządzili marynarze niemieccy „Dzień Marynarza“, celem bliższego zetknięcia się z ludnością. Na dziedzińcu koszarowym wystawili marynarze charakterystyczny obrazek sceniczny, przedstawiający wojnę w kolonjach. Można tam było również zobaczyć, jak „czarni“ przywiązali do pala Europejczyka.

mych nóg, — nie mógłbym inaczej postąpić, — musisz się zadowolić mojem zimnem „dobranoc“, — to wprawdzie strasznie brzmi u nowozaślubionych, ale zmienić się nie da, — tak musi pozostać.

„Kazimierzu, moje życie należy do ciebie!“ błagała piękna niewiasta, roztwierając ramiona i spoglądając gorącym, pożądającym wzrokiem w twarz ukochanego; „patrz, jam młoda, — ja kocham cię, — każdy nerw, każda żyłka we mnie drży do ciebie, ciągnie mnie, — przyciąga niepokonaną siłą do ideału, o Kazimierzu, pójdź w moje objęcia, — obejmij mnie, — pozwól mi zakosztować szczęścia na twem łonie; czy wiesz ty, co to znaczy, jeżeli mnie odrzucisz od siebie, — na Boga, to obraza, jakiej żadna kobieta nie zdolna przebaczyć, — potwarz, która całe życie zaciąży na mnie, — to wzgarda, która jest w stanie zatruć, skrócić moje młode życie!“

„Ja również noszę mój krzyż w piersi, — a on nie lekki! Pomimo tego, nie upadnę pod nim!“ odezwał się Kazimierz głucho, „musimy oboje włożyć na barki tę winę, jakąśmy dzisiaj popełnili, w tym dniu nieszczęsnym!“

„Ja nie chcę niczego wkładać, przed czém wzdryga się moja natura!“ zawołała Lola z zdwojoną namiętnością. Cały jej dziki, nieokiełznany charakter wydobył się na powierzchnię. „Słyszysz, Kazimierzu, ja niechcę! Nie poto włożyłam na skroń mój mirtowy wieniec, aby mnie kłuł i krwawił jak cierniowa korona, — o nie, nie dlatego! — Precz z wami, kłamliwe kwiaty, któreście mi słodkie szczęście obiecywały, — precz z moich włosów, — nie chcę was mieć, — nogami zdeptam was na miazgę!“

Prędkiem ruchem zdarła sobie mirtowy wieniec z włosów, — rzuciła go na podłogę, — i w następnej chwili, zanim Kazimierz miał czas przeszkodzić temu, podeptała gniewnie obiema nogami biedne kwiaty, które jej przecież niczego złego nie zrobiły.

„Umierajcie, — więdnijcie tak, jak moje szczęście zwiędło, — nie mirtem będę się zdobić w przyszłości, tylko białemi różami, bo to kwiaty grobu, — — niemi uwieńczę grób mojej miłości!“

„Ależ Lolu, ja proszę cię, — ja zaklinam cię —“.

„I ty zwodnicza tkanko, któraś figurowała jako symbol mego szczęścia ślubnego“, ciągnęła dalej piękna, czarnowłosa kobieta w głębokiem rozdrażnieniu, zdzierając sobie welon ślubny z głowy i targając go w drobne kawałki, „idź precz i ty! Stroiłaś szczęśliwą narzeczoną, ale teraz wydrwiwasz tylko wzgardzoną, odepchniętą, nieszczęsną kobietę. — Wyrzucam cię w ogień! Stań się pastwą jego, podsyć te płomienie! Żarz się ogniu, — ha, straszniej gorze w mojej piersi ognisko, — ale i ono zgaśnie, — zamieni się w zlodowaciałą skorupę! Ach, mnie się już teraz zdaje, że moja gorąca krew krzepnie mi w żyłach jak pod powiewem śmierci! — Biada ci, nieszczęsny małżonku, jeszcze przerazisz się kiedyś jak wglądniesz w moją pierś i zobaczysz coś uczynił z mego kochającego cię serca!“

Kazimierz zakrył sobie twarz rękami — zadrżał tak gwałtownie, jakby burza rozszalała się nad nim, kołysząc go na różne strony. Nie bronił Loli, że zdarła gwałtem drogocenną suknię odsłaniając przed nim swoje dziewicze ciało.

„Precz, — precz, ze wszystkiem, — na dół z tą suknią, — nie jestem więcej nowozaślubioną, — melodje wesela przebrzmiały, — zamieniły się w smętną pogrzebową muzykę, — ten dom to nic innego jak wielka trumna, — to sarkofag, w który mnie zamknięto, — pogrzebano, — tak, pogrzebano, — to prawdziwe słowo! Spodziewałam się przy twym boku życia, — życia pełnego uciechy, radości, szczęścia, — a ty wepchnąłeś mnie w grób, — odjąłeś mi życie zadając śmierć! Kazimierzu, ty nie zdajesz sobie sprawy z tego, coś mi uczynił! Ale wiedz o tem, nieludzki, przestrach ogarnie cię, jak rozpoznasz kiedyś, co to znaczy igrać z gorącą miłością kobiety!“

Suknia opadła jej do nóg, — z pogardą odrzuciła ją od siebie w kąt. Stała przed nim w bieliźnie ustrojonej w koronki, — cały raj piękna otworzył się przed okiem Kazimierza, — nagie jej okrągłe piersi falowały szybko, — ciemne sploty włosów rozlały się po śnieżno białej szyi, spadając na alabastrowe ramiona, — jej pełne jakby z marmuru wyciosane ręce otwierały się do niego, obiecując mu całe niebo, — wszystko w niej oddychało młodem życiem, miłością, urokiem. A on, — on wzgardził tem rajem, — uciekał od niego jakby od piekła.

Lola wyglądała w tej chwili niby piękny demon. Z poza bladych warg wyłaniały się białe jak kreda drobniutkie ząbki, — oczy rzucały fosforyczny blask, — każdy jej ruch był pełen życia, — pełen energji! Zdawało się, że już, już rzuci się na niego, zatapiając w jego ciele swoje paznogcie, — że porwie go całą siłą namiętności, przyciśnie do siebie, skrępuje, — nie wypuści, dopóki nie uczyni go całkowicie swoim. Znowu przystąpiła do niego bliżej, wołając zachrypłym już tonem:

„Jeszcze raz, — po raz ostatni, Kazimierzu, pytam cię: Chcesz mnie uczynić swoją małżonką, ale nie małżonką po imieniu, tylko żoną, która ma prawo do twej miłości, — miłości, jaka wiąże dwoje ludzi nierozerwalnymi węzłami? Czy chcesz naprawdę poświęcić mnie jakiejś mrzonce, jakiejś fantazji, wspomnieniu tylko na jakąś miłostkę, którąś przeżył kiedyś z ową nieznaną. Bóg wie skąd przybyłą dziewczyną? — Kazimierzu, wszystko do ciebie należy, cała ci się oddaję, — będę ci wierną jak jeszcze nigdy żadna niewiasta wierną nie była. Znużoną twą głowę umieszczę na mych piersiach, ułożę miękko, — smutek twój odgonię, nigdy nie znikającym z twarzy mojej uśmiechem, uśmiech ten wszczepię, zaczaruję i na twoje blade oblicze, — troski twe odgonię wesołością, — a jak wybije kiedyś dla ciebie godzina śmierci, umrę razem z tobą, — wszystko, wszystko, o Kazimierzu, uczynię dla ciebie, — oddam ci wszystko, — tylko kochaj mnie, — kochaj mnie, — nie wydawaj mnie na pastwę obłąkaniu!“

Objęła go znowu, — tym razem uczuł wszystkie jej wdzięki, — ciepłe piersi przyciskała do niego, — jak bluszcz koło drzewa owinęła się. — Gorąca fala krwi napłynęła mu do serca.

Lecz w tej samej chwili odtrącił ją od siebie gwałtownie, — złamanym głosem zawołał:

„Nie, nie, — nie zwiedziesz mnie, piękna Putyfaro, — jam nie twój, — tyś mnie tylko wykradła, — ja należę do Anielci, — do niej tylko, do żadnej innej, — ją tylko kocham, — wszystko co myślę, co czuję, czem jestem, należy do niej, — jest jej własnością, — gdybym zamienił tylko jedno jedyne uściśnienie ręki, — spojrzenie gorętsze z tobą byłoby to rabunkiem, — świętokradztwem, — stałbym się tem samem zbrodniarzem!

„Idź, Lolu, idź, nie czyń się sama nieszczęśliwszą jeszcze, jak już jesteś, — i nie uwłaszczaj swojej godności, nie poniżaj się przed mężczyzną, który cię nie może kochać, aby nie musiał pogardzać tobą. Dobranoc, biedna, dobranoc, — módl się do Boga! Ja również będę go błagał, aby mi dodał sił do zniesienia strasznego, co się niestety już stało."

„Kazimierzu, — Kazimierzu, — nie odchodź, — ja —"

Zapóźno! Doszedł do drzwi i zniknął za niemi, w następnej chwili zatrzasnął podwoje, — słyszała jeszcze jak się klucz dwa razy w zamku obrócił.

Upadła na sofę ze strasznym śmiechem, — śmiechem okropniejszym jak tysiące przekleństw.

Tuż koło niej na stoliku paliły się świece, — płomień ich począł się chwiać to na lewo, to na prawo, jakby jakiś wiatr powiał, — a przecież ani drzwi, ani okno nie było otwarte.

Ale cóż to? — Pomału odchyliły się małe tapetowe drzwi, których Lola dotychczas nie spostrzegła.

Leżąc na sofie obróciła głowę, — o mało co, że krzyk nie wydarł się z jej piersi, — gwałtem opanowała przestrach.

W drzwiach zjawiła się jakaś postać kobieca, ciemno jak noc przybrana, — to była Arabella.

Pomału przystąpiła do Loli. W ręku trzymała mały kluczyk, którym otworzyła przed chwilą skryte drzwi, — podczas gruntownych remontów budynku, kiedy robotnicy uwijali się odnawiając i poprawiając, co się dało, postarała się o klucz do tego tajemnego wejścia.

Straszny, szyderski uśmiech zadosyćuczynienia osiadł na wargach matki.

„To ty, — ty tutaj jesteś?" zawołała Lola drżącym głosem, podnosząc się do połowy i wpatrując się przerażonym wzrokiem w swoją matkę. Szeroko rozwarte źrenice utkwiła w ciemną postać nieruchomo. „Ty — ty słyszałaś wszystko?"

„Słyszałam wszystko, — jestem pomszczoną."

Szyderczy śmiech dał się słyszeć z ust Arabelli. Owinęła się lepiej czarno jedwabnym płaszczem, który zakrywał jej pełne formy, — rzucając na swoją córkę pełne nienawiści spojrzenie zawołała z tryumfem:

„Choćbym ci była wsączyła jad, który zwolna zabija i przypatrywała się twym mękom, nie czułabym się tak zadowo-



W uzdrowisku Rauheim odbył się tegoroczny konkurs taneczny między Niemcami i Anglią. Zwyciężyła para angielska Elsa Wells i James Barrel.

loną jak teraz, nie byłabym całkowicie pomszczoną, — chociażbym cię była zdradziła przed Zygmuntem Sokolskim i to byłoby tylko słabą cząstką, — czemś niezupełnem. Ale teraz widok twej poślubnej nocy, pierwszej nocy młodej mężatki, która liczy się do najszczęśliwszych chwil w życiu kobiety, — ha, to mnie odszkodowuje. — Jesteś porządnie ukarana, — życie pełne rozpaczy czeka na cię."

Ciemna postać odwróciła się i pokroczyła znowu do drzwi. Jeszcze raz stanęła u progu, — jeszcze raz przesłała jej szydercze spojrzenie, — dziki, straszny śmiech odchylił jej miesiste wargi.

Pocichu, jak otworzyła, tak samo bez hałasu zamknęła za sobą drzwi, — znikła jak widmo.

Lola nie mogła sobie zdać jasno sprawy z całego zdarzenia, nie była pewna czy to sen, czy to jawa. — Jakby ją furie obsiadły zerwała się ze sofy i pognała do swojej sypialni. Z jękiem rzuciła się na łóżko.

„To pierwsza noc po ślubie!" zawołała bliska szału, „moja pierwsza noc poślubna, haha, — błoga noc, — świecę przecież pierwsza noc panny młodej, — ha, — zabij mnie rozpaczy!"

LVII.

Mężczyzna o siwych oczach

Przed jednym domem Rue de la paix, którego okna były zasłonięte gęstemi firankami, stanął jakiś elegancki powozik. Drzwiczki otworzył uliberowany lokaj, pochylając nisko cylinder, — ze środka wyskoczył młody, elegancko ubrany mężczyzna. Podbiegł do rączki u dzwonka i pociągnął za nią energicznie.

Tuż u dzwonka była przybita mosiężna tabliczka, na której było wyryte imię Edwin Lister.

Może we dwie minuty otworzyły się drzwi, — jakaś w podeszłym wieku, ale nadzwyczaj schludnie ubrana kobieta spytała młodego gościa, czego sobie życzy.

„Chciałbym pomówić z mister Listerem", odrzekł tenże.

„Przepraszam bardzo, ale mister Lister nie przyjmuje kogobądź, zresztą niema czasu na pogadanki."

„W takim razie proszę mu oddać moją kartę wizytową", odrzekł nieznajomy i wręczył starszej kobiecie bilet, na którym stało imię: hrabia Kazimierz Zamski i pięciopałkowa korona.

To podziałało. Staruszka wpuściła natychmiast zacnego gościa prowadząc go do pokoju, położonego w suterenach.

Po upływie pięciu minut wróciła się i poprosiła hrabiego na pierwsze piętro. U jednych z drzwi stanęła i wskazując na nie, wyrzekła:

„Tutaj znajduje się pracownia mister Listera. Proszę tylko wejść."

Kazimierzowi zatłukło się serce w piersi jakimś lękiem i zarazem nadzieją. Po za temi drzwiami rozpoczynało się panowanie czarodzieja, który już wiele niepodobnych rzeczy przyprowadził do skutku, które dla innych wydawały się nieprawdopodobieństwem. Tak, — tutaj mieszkał człowiek, na którego jedni spoglądali z podziwem i radością, — drudzy znowu z przestrachem i trwogą. Kto nie miał czystego sumienia, kto kroczył po ścieżkach występku i zbrodni, dla tego było imię Edwin Lister czemś strasznem, — przerażenie obejmowało złoczyńce jak usłyszał to imię, bo nie było w całej Europie tajnego ajenta policji, który mógłby się porównać z mister Listerem.

Z urodzenia Anglik, na stałe osiadł Lister w Paryżu, który, jak powszechnie wiadomo, jest miejscem zbornem międzynarodowych zbrodniarzy, — niejako wielkim lasem, gdzie zwierzęta drapieżne różnego gatunku z maską człowieka najchętniej przebywają, — gdzie zatem dla myśliwego na podobną zwierzynę otwierało się pole do popisu zdolności kryminalno-policyjnych.

Lister sam był osobistością tajemniczą; życie prowadził tego rodzaju, że je, conajmniej, oryginalnem nazwaćby można.

Był to mężczyzna lat około czterdziestu: ci, którzy go znali, nie mogli się nachwalić jego eleganckiej powierzchowności. Jedni utrzymywali, że przypomina wysokiego arystokratę, drudzy, — a zwłaszcza kobiety, — twierdziły, że reprezentuje prawdziwą południową piękność, pełną niewymownego powabu. I rzeczywiście, kędziory jego czarnych włosów, broda, twarz całą okalająca, która mu na piersi spadała, wskazywały na Hiszpana.

Szczególniejszy kontrast z kolorem włosów i nadzwyczaj białą cerą tworzyły wielkie, siwe oczy o szczególniejszym wyrazie.

Przed jego to drzwiami stał obecnie hrabia Kazimierz, nasz młody małżonek. Odszukał go, gnany gorączką niepokoju i żalu, jakie duszę jego wypełniały, zapukał do drzwi, — ze środka odezwał się nadzwyczaj sympatyczny głos:

„Proszę!“

Urządzenie pokoju, do którego Kazimierz wchodził, było tak osobliwe, tak dziwne, że młody hrabia stanął na progu jak osłupiały. Czegoś podobnego nie widział dotąd nigdzie, ani w żadnym pałacu, ani domu mieszczańskim, ani też w żadnej chacie! Cechą pokoju gruba żałoba, jakby to było sklepienie grobowca, w którym nie żyjący, lecz umarły przebywał!

Czarne było wszystko, — ciemne jak noc! — Tapety z czarnego jedwabiu, tu i owdzie przetkane nićmi złotemi. Kotary u drzwi i okien z ciężkiego czarnego jedwabnego pluszu. Meble nawet obite czarnym jedwabiem.

Niemal w środku pokoju znajdowało się wielkie, czarne biuro. Przed nim krzesło z wysoką poręczą, ukoronowaną — trupią czaszką, ręką mistrza snać z kości słoniowej utoczoną.

Przy ścianach stały czarne szafy, pełne książek. Ale i tych oprawa była czarna.

W środku pokoju stał sam pan Lister. Kazimierzowi znane były jego rysy z rycin francuskich i angielskich dzienników. Poznał go po nich. Sama jednak powierzchowność Anglika zrobiła tak potężne na nim wrażenie, że stał, jakby przestraszony, ze wzrokiem nieruchomo utkwionym w blade, pozór cierpienia mające, oblicze jego.

Czysty cień z grobu, bez kropli krwi w żyłach.

Mimowoli przypominał upiora, o którym zabobonni ludzie opowiadają, że co nocy wstaje z grobu i wybiera sobie ofiarę, z której krew wysysa, — z reguły jest nią piękna dziewczyna i to dziewica.

Strój detektywa był dobrany do otoczenia. Równie jak ono czarny, — aż pod szyję zapięty. Po nad kołnierz surduta wystawał wąski pasek lnianego kołnierzyka. Końce krawata, z fantazją zawiązanego, spadały na pierś, której większą część przysłaniała broda.

Co jednak Kazimierza najbardziej zaaferowało, co go, jakby przykuło do progu, — to były oczy jego. Wielkie, siwe, zagadkowe oczy, na Kazimierza badawczo skierowane.

Sprawiły zamęt w jego głowie, na chwilę zapomniał poco tu właściwie przyszedł, co go tu sprowadziło.

„Jak widzę, dziwi się pan!“ dał się słyszeć dźwięczny głos Listera.

Kazimierz na te słowa, jakby zbudził się ze snu.

„Mój panie, pan nie pierwszy jesteś“, ciągnął tajny ajent dalej, „którego w zadziwienie wprawia urządzenie mego pokoju. Ale mojem zdaniem, lepiej jest zawczasu przyzwyczaić się do tego, co nas kiedyś czeka, — t. j. do grobu, — nicości!

„Proszę jednak bliżej. Przyjemnie mi pana powitać, chociaż nie wiem, co go tu do mnie sprowadza. Na każdy sposób stoję na pańskie usługi!“



Greta Garbo opuściła obecnie Hollywood, udając się do swej ojczyzny — Szwecji na kilkumiesięczny wypoczynek. Oczywiście w chwili odjazdu artystki wielu fotografów usiłowało dokonać zdjęcia jej, co nie było łatwem ze względu na to, że Greta Garbo nie pozwala się wogóle fotografować. Mimo bardzo daleko posuniętej ostrożności artystki w tym kierunku, jednemu z cierpliwych fotoreporterów udało się dokonać fotografji gwiazdy w oknie wagonu.

Kazimierz doznawał uczucia, jakby słowa przez Listera wypowiedziane jakąś niewidzialną siecią go otaczały, jakiś niepojęty wpływ na niego wywierały, — mimo, że brzmiały bez jakiegokolwiek patosu a treść ich była najobojętniejszą w świecie!

„Mój panie“, rzekł Kazimierz, stając z lekko oddanym ukłonem przed ajentem, — przechodzę do pana, jak ciężko chory do lekarza, w którym całą swą nadzieję pokłada! Tak, jak do lekarza, który jedynie poradzić mu może! Przychodzę jak przyjaciel do przyjaciela, z pełnem zaufaniem, — całą ufnością! Mój panie, sława pańska obudziła we mnie takie nadzieje, że drżę na myśl, gdyby się one spełnić nie miały. Bo gdyby jak chory na prośbę od lekarza, — dowiedziećbym się miał prawdy, że w tym przypadku nie ma ratunku, — o, to wtedy — —“

„Wtedy jest jeszcze ktoś, kto panu może pomóc!“ odparł Lister.

„Bóg!“ zawołał Kazimierz.

„Nie! — pan sam! — — Dziwi to pana? — Dziwnie to może brzmi z ust człowieka, doradcy tylu ludzi, że każe się im uciekać do własnej siły. W ciężkich sytuacjach życia jedni drugim często nie możemy pomóc! — Ale proszę usiąść. Czemże mogę panu służyć? Słabe me siły stoją do pańskiej dyspozycji.“

„Dziękuję, bardzo panu dziękuję“, rzekł Kazimierz, siadając na krzesło, czarnym jedwabiem obite. „Niechże też pan, co tyle świetnych rezultatów ma za sobą o słabych siłach nie mówi!“

„Przeceniają mnie tylko. Znam siebie samego lepiej od innych! Ale proszę, przystąpmy do rzeczy. Niech się panu zdaje, że jesteś w tej chwili przy konfesjonale i masz spowiednika przed sobą! Nie potrzebuję pana, spodziewam się, zapewniać, że cokolwiek mi pan opowie, zachowam jakby tajemnicę spowiedzi! Bo to mój zawód, panie łaskawy!“

„Zechce pan przedewszystkiem wiedzieć, kto jestem, zabrał głos Kazimierz, „jestem hrabia Kazimierz Zamski i jestem synem zmarłego — —“

„— hrabiego Teodora Zamskiego“, przerwał mu Lister, — „który posiadał znaczny majątek ziemski — —“

„Posiadał?“ wtrącił Kazimierz niepewnym głosem.

„Tak, całkiem słusznie, posiadał“, twierdził ajent, „bo obecnie rozporządzasz pan tylko rodowym zamkiem! Ojciec pański był narażony na wielkie straty i był zmuszony, wszystkie swoje posiadłości wyprzedać.“

„Skąd to pan wiesz?“

„Mój panie łaskawy, ja jestem tajnym ajentem, — Lister me nazwisko, — czyż to nie dosyć! Pan się dziwi, że ja wiem wszystko? Gdybym nie posiadał takich wiadomości, nie znał swoich bliźnich na wylot, nie byłbym tem, czem jestem, tylko partaczem! — Słuchaj pan dalej, panie hrabio, — pan miałeś nieprzyjemną awanturę kiedyś. Byłeś obwiniony o zamiar zamordowania młodej jednej damy, nazwiskiem panny Rodeń, damy do towarzystwa w domu hrabiego Zygmunta Sokolskiego, — nieprawdaż?“

Zdziwienie Kazimierza potęgowało się coraz więcej. Szczególniejszy to człowiek, ten detektyw, nie obce dla niego najgłębsze tajemnice, — on Elzy Rodeń może w życiu nigdy nie widział, — co najwyżej słyszał tylko! — —

„A następnie“, — ciągnął dalej detektyw, „został pan niewinnie skazany na dziesięć lat do domu poprawy, — pierwszego dnia już jednak uwolnił pana stamtąd hrabia Zygmunt Sokolski!

„Od tego czasu podróżowałeś pan ciągle, — nareszcie znalazłeś się pan w Paryżu, w sam czas jeszcze by ojcu oczy zamknąć. — Przedwczoraj poślubiłeś pan hrabiankę Lolę Sokolską! Ślub odbył się w kościele Notredame. Masz więc pan za żonę nietylko jedną z najpiękniejszych, ale i najbogatszych kobiet. Zatem, — zdawałoby się, — jesteś pan, — szczęśliwym! Tak sądziliby ludzie!“

„Masz pan rację, że wątpisz o mojem szczęściu!“ potakując głową, rzekł Kazimierz. „Mało jest na świecie tak bystrych znawców ludzi, jak pan!“

„Tak, tak, — troski przygniatają pana! Ja widzę po pańskiej twarzy, w oczach, że na dnie pańskiego serca spoczywa głęboka boleść utajona! — W linja koło ust pańskich, oczy stanowczo nie dowodzą jeszcze niczego! Znam ludzi, mój panie hrabio, bladych jak papier cieszących się mimo to wyśmienitem zdrowiem. Znam i ludzi, na których twarzy nie wyryte cierpienie a przecież nieszczęśliwych! — Najlepszym dowodem pańskiego nieszczęścia jest fakt, że się pan w tym pokoju znajdujesz, bo do mnie udają się tylko nieszczęśliwi!

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

HUMOR

Najlepszy pies

Stasiek zaprosił mnie na wieś do swej posiadłości. Bardzo ładny mająteczek. Śliczny domek z gankiem, budynki gospodarskie, przed stajnią psia buda, a przed nią wielki zły brytan.

— Cóż to za pies? — pytam.

— A to najlepszy pies z całej okolicy...

— Na noc pewnie spuszczasz go z łańcucha, co?...

— Jeszcze co?... Żeby mi go ukradli?!?...

Rada

Do sklepu dziecinnej galanterji wchodzi oburzona jejmość i powiada:

— Panie, to skandal!... W ubiegłym tygodniu kupiłam tu dla synka majteczki... Po wypraniu tak się skurczyły, że nie chcą wejść!...

A na to sprzedawca spokojnie:

— Niech pani teraz porządnie wypierze synka to wejdą...

Nie połknie...

— Kaziu, wypluń mi zaraz guzik z buzi, bo połkniesz jeszcze...

— Dobrze, mamo!

(za chwilę)

— Co to? teraz znów palec włożyłeś w buzię? Wyjmij mi zaraz!...

— Czego się mamusia boi? przecież go nie połknę!...

Najlepsza odpowiedź

— Mamusiu, dzisiaj dałam najlepszą odpowiedź w klasie. Pani pytała mnie, ile znam imion żeńskich i ja wymieniłam największą liczbę.

— O, to ładnie, skąd znasz tyle imion?

— Wymieniłam wszystkie służące, które u nas służyły tego roku.

Winien Giewont

Pan Filipek jest zapalonym fotografem-amatorem. Wrócił właśnie z Zakopanego.

— Robiłeś zdjęcia?... — pyta znajomy.

— Owszem...

— I jak ci się udały?...

— Giewont źle wyszedł... Pewnie się poruszył.

Lekarstwo na deszcz

— Mam łamanie w kościach, będzie deszcz.

— A nie posiada pan jakiego lekarstwa?

— Posiadam.

— To używaj pan go, dość mamy już deszczu.

Wszystko jedno

Do kasy kolejowej dopada spocony pasażer i powiada zdenerwowanym głosem:

— Proszę o bilet trzeciej klasy do Ciechanowic! Ale prędko!...

— Przed chwilą odszedł pociąg do Ciechanowic... — odpowiada kasjer.

— O, psiakość!... A jaki teraz odchodzi?...

— Kurjer do Paryża.

— To dawaj pan do Paryża!... Wszystko jedno!...

Na wencie

Pierwsza panna: — Widzi pani, jakie mam powodzenie? Sprzedałam już wszystkie płaszczyki z tej ściany.

Druga panna: — Jezus Marja! Co pani zrobiła? ! ! ! To szatnia!

W teatralnej garderobie

Dwie artystki skracają sobie rozmową czas w garderobie teatralnej.

— Dobrze jest tym, którzy mają dużo pieniędzy... — wzdycha jedna z nich.

— O, tak... — potwierdza druga. — Ja tego, niestety, o sobie powiedzieć nie mogę... Całym moim majątkiem jest uroda...

— Głupstwo!... Nie martw się!... Ubóstwo nie hańbi!...

Fantazja

Przed budką telefoniczną ciągnie się długi ogonek interesantów. W budce jakaś pani szuka w książce telefonicznej numeru. Szuka już piętnaście minut. Interesanci, stojący w ogonku niecierpliwią się.

Wreszcie jeden z nich uchyla drzwi i powiada:

— Przepraszam bardzo, widzę, że pani sama nie może sobie dać rady... Czy mógłbym pani pomóc?...

— Dziękuję... Ja wcale nie mam zamiaru telefonować... Szukam tylko odpowiedniego imienia dla mojej przyszłej córeczki...

Córki

— A jakie tam panine córeczki?

— Ano chwalić Boga, niczego sobie. Jeszcze żadna zamąż nie wyszła, ale mam z nich pociechę. Pracują wszystkie i jakoś zarabiają na życie.

— A co one robią?

— Wszystkie, moja pani, co do jednej, za mamki służą.

Przy wyjściu z eleganckiej kawiarni

— Doprawdy przesada dawać szwajcarowi taki suty napiwek.

— Ale żebyś wiedział, jakie ładne palto mi dał!

Groźba

Żona: Jeżeli dziś znowu wrócisz tak późno do domu — to jutro przez cały, cały dzień nie odezwę się słowem do ciebie!

Mąż: Dobrze. Zgadzam się.

Lekarstwo

Mąż zachorował. Troskliwa żona zawołała lekarza. Ten badał chorego i oświadczył, że nie widzi nic groźnego.

— Mężowi pani potrzebny jest tylko spokój. Zapiszę opium na sen.

— A jak często mu to dawać, panie doktorze?

— Dawać? To pani będzie zażywać.

W sądzie

— Więc oskarżony już piętnaście razy karany był za kradzież kieszonkową? A ile oskarżony dostał ostatnim razem?

— Tylko 50 groszy, proszę wysokiego sądu.

Nasi milusińscy

— Smarkaczu! Ty palisz? Oj, gdybym ja był twoim ojcem!

— Możesz pan nim być — moja matka jest wdowa...

Tłumaczenie

Dwaj przyjaciele spotykają się na ulicy, jeden z nich zwraca się do drugiego:

— Ech, przyjacielu, winienem cię prosić o wybaczenie.

Przyjaciel (zdumiony): O wybaczenie? Nie wyrządziłeś mi przecież nic złego.

— Wysłuchaj mnie, a zrozumiesz: Kupiłem wczoraj mojej żonie brylantowy pierścionek i teraz ona poszła z wizytą do twojej żony.

Zajęcie

— O, macie teraz jakieś zajęcie?

— Owszem mam. Chwilowo jestem zajęty przy poczcie.

— A co tam robicie?

— Sprzedaję zapałki.

Pech

Szpital. Po dwóch dobach, nieszczęsna ofiara wypadku ulicznego po raz pierwszy otwiera oczy.

— Nareszcie! — woła ucieszony lekarz — Przez dwa dni utrzymywaliśmy pana przy życiu dawkami konjaku.

— Konjaku? — woła żałośnie pacjent. — A to pech. że przy takiej wspaniałej okazji musiałem akurat być nieprzytomny!

Dziwna potrawa

Jedna z renomowanych restauracyj urządza w godzinach obiadowych koncerty, słusznie wychodząc z tego założenia, że dźwięki orkiestry zatuszują śmiertelne jęki konsumentów.

Stolik na uboczu. Jakiś gość, przy akompanjamencie wesołego walczyka daremnie usiłuje przekrajać na talerzu coś, co podobieństwem graniczy między zelówką a kotletem.

Wreszcie zniecierpliwiony wzywa kelnera i przekrzykując orkiestrę, pyta:

— Co to jest?

— Kawałek z „Cnotliwej Zuzanny" — odpowiada kelner, mając na myśli muzykę.

Coś „krajowego"

W tramwaju siedzi jakiś ponury typ i pełnym niechęci wzrokiem studjuje przylepione na szybach wagonu reklamy.

Nagle przy plakacie Ligi Samowystarczalności Gospodarczej, głoszącej hasło: „Kupujcie Wyroby Krajowe", ponury typ uśmiecha się złowieszczo, wyjmuje ołówek i dopisuje pod hasłem:

„Za co?"

Pomoc dajcie mu rodacy

W pociągu kurjerskim. Z przedziału wybiega śmiertelnie przerażony pasażer.

— Ratunku, ratunku! Na pomoc!

— Co się stało?

— Moja teściowa chce wyskoczyć przez okno, a ja w żaden sposób nie mogę otworzyć tego przeklętego okna!

Dla spokoju

Adwokat do klienta: — Czyś pan zwarjował, czy co do djabła? Przyznałeś się pan do niepopełnionej winy, pomimo, że dowody pańskiej niewinności były aż nadto dostateczne?

— Tak, ale widzi pan, moja żona powiedziała, że gdybym poszedł do więzienia, to natychmiast rozwiodłaby się ze mną.

W redakcji

— Panie redaktorze — chwali się domorosły literat — ja posyłam swoje nowele do wielu pism i dotychczas żadnej mi nie zwrócono.

— Więc pan nie załącza znaczka pocztowego na zwrotną wysyłkę?

Dobre zęby.

— A czy pan, doktorze, dobrze wykona moje sztuczne zęby?

— Świetnie! Będą nawet bolały pana, jak prawdziwe.

Sztuka

Gość: Bardzo ładny obraz? Z jakiej pochodzi szkoły?

Nowobogacki: Pan wybaczy, ale ten obraz wcale nie pochodzi ze szkoły, tylko z pałacu księcia X.

OGŁOSZENIA DROBNE

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł 2,85. Pod opaską miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8

Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się.

P. K. O. Nr. 207.393

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str. 225,- zł itd. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Red. nacz. i wydawca: Alfred Ksycki — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki, Żnin.